Ursula K. Le Guin

Słowo las znaczy świat

FENIX

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Ziemscy kolonizatorzy zasiedlają kolejną planetę, tym razem pokrytą lasami, które są całym światem tubylczego rozumnego gatunku. Gatunek ten ewoluował podobnie do homo sapiens, jego przedstawiciele są jednak niżsi i pokryci zielonym futrem, przez co traktowani są przez ludzi jako coś pośredniego między zwierzętami a dziećmi. Widok istoty mniejszej, więc w założeniu słabszej, może wywoływać, oprócz obojętności, skrajnie różne postawy: opiekuńczą bądź dominującą — i te dwa sposoby traktowania małych ludzi zetrą się w powieści tworząc mieszankę wybuchową.

- Ursula K. Le Guin
  - 1.
  - 2.
  - 3.
  - 4.
  - 5.
  - 6.
  - 7.
  - 8.

Ursula K. Le Guin
Słowo „las” znaczy „świat”

1.

Dwa zdarzenia wczorajszego dnia tkwiły w pamięci kapitana Davidsona i kiedy się obudził, przez chwilę leżał rozpatrując je w ciemności. Jedno na plus: przybył nowy transport kobiet. Wierzcie albo nie. Były tu, w Centralu, dwadzieścia siedem lat świetlnych od Ziemi NAFAL-em i cztery godziny od Obozu Smitha skoczkiem, druga partia kobiet hodowlanych dla kolonii Nowa Tahiti, wszystkie zdrowe i czyste. Dwieście dwanaście głów pierwszorzędnego materiału ludzkiego. Albo w każdym razie wystarczająco pierwszorzędnego. Jedno na minus: raport z Wyspy Śmietnikowej o nieurodzaju, rozległej erozji, zagładzie. Rząd dwustu dwunastu dorodnych, łóżkowych, piersiastych figurek zniknął z myśli Davidsona, kiedy ujrzał w wyobraźni deszcz lejący na zaoraną ziemię, zmieniający ją w błoto, rozcieńczający błoto w czerwony rosół spływający po skałach do sieczonego deszczem morza. Erozja rozpoczęła się, zanim opuścił Wyspę Śmietnikową, aby objąć dowództwo Obozu Smitha, a ponieważ był obdarzony wyjątkową pamięcią wzrokową, jak to się mówi, ejdetyczną, przypominał to sobie aż nadto jasno. Wyglądało na to, że ten jajogłowy Kees ma rację i że trzeba zostawić wiele drzew tam, gdzie planuje się zakładanie farmy. Ale w dalszym ciągu nie rozumiał, dlaczego farma nastawiona na soję miała marnować dużo miejsca na drzewa, jeśli ziemię uprawiało się naprawdę naukowo. W Ohio tak nie było; jeśli chciałeś kukurydzę, uprawiałeś kukurydzę nie marnując miejsca na drzewa i takie inne. Ale Ziemia jest ujarzmioną planetą, a Nowa Tahiti nie. Po to właśnie tu był: żeby ją ujarzmić. Jeśli Wyspa Śmietnikowa to teraz tylko skały i parowy, to szlag z nią; zacząć od nowa na nowej wyspie i radzić sobie lepiej. Nie można nas powstrzymać, jesteśmy ludźmi. Szybko przekonasz się, co to znaczy, ty cholerna zakazana planeto, pomyślał Davidson i uśmiechnął się lekko w ciemnościach baraku, bo lubił wyzwania. Myśląc: „ludzie” miał na myśli kobiety i znowu w jego wyobraźni zaczął się przesuwać rozkołysanym ruchem rząd małych postaci, uśmiechających się, podskakujących.

— Ben! — ryknął, siadając i spuszczając z rozmachem stopy na gołą podłogę. — Gorąca woda przygotować, szybko-szybko!

Ryk obudził go należycie. Przeciągnął się, poskrobał po torsie, naciągnął spodenki i wyszedł z baraku w jednym ciągu swobodnych ruchów. Temu dużemu mężczyźnie o twardych mięśniach sprawiało przyjemność posiadanie wysportowanego ciała. Ben, jego stworzątko, trzymał jak zwykle gotową i parującą wodę na ogniu i jak zwykle kucał wpatrując się w coś nieruchomym wzrokiem. Stworzątka nigdy nie spały, tylko po prostu siedziały i gapiły się.

— Śniadanie. Szybko-szybko! — zawołał Davidson podnosząc brzytwę z nie heblowanej deski, gdzie stworzątko przygotowało ją razem z ręcznikiem i lusterkiem z podpórką.

Dużo było dzisiaj do zrobienia, ponieważ zdecydował, w ostatniej minucie przed wstaniem, że poleci do Centralu sam obejrzy nowe kobiety. Nie wystarczą na długo, dwieście dwanaście na ponad dwa tysiące mężczyzn, i jak w pierwszej grupie większość z nich to prawdopodobnie osadnicze żony, a tylko dwadzieścia lub trzydzieści przybyło jako personel rozrywkowy, ale te kociaki to naprawdę pierwszorzędne, drapieżne panienki i tym razem miał zamiar być pierwszy w kolejce do przynajmniej jednej z nich. Uśmiechnął się lewą stroną twarzy, podczas gdy prawy policzek nastawiony pod wirującą brzytwę pozostał nieruchomy.

Stare stworzątko lazło powoli i przyniesienie śniadania z kuchni polowej zajmowało mu godzinę.

— Szybko-szybko! — wrzasnął Davidson i Ben z wysiłkiem zwiększył tempo swego powolnego kroku. Ben miał około metra wysokości i futro na jego plecach było bardziej białe niż zielone; był stary i tępy nawet jak na stworzątko, ale Davidson wiedział, jak sobie z nim radzić; potrafił ujarzmić każdego z nich, jeśli było to warte zachodu. Ale nie było. Sprowadzić tu wystarczająco dużo ludzi, zbudować maszyny i roboty, założyć farmy i miasta i nikt już nie będzie potrzebował tych stworzątek. I dobrze. Bo ten świat, Nowa Tahiti, był dosłownie stworzony dla ludzi. Oczyszczony i ogołocony, ciemne lasy wycięte pod otwarte pola uprawne, zlikwidowany pierwotny mrok, dzikość i ignorancja może być rajem, prawdziwym Edenem. Lepszym światem niż zużyta Ziemia. I byłby to jego świat. Bo bardzo głęboko w sobie Don Davidson był pogromcą światów. Nie należał do ludzi chełpliwych, ale znał swe możliwości. Po prostu taki był i tyle. Wiedział, czego chce i jak to zdobyć. I zawsze zdobywał.

Śniadanie, którego ciepło czuł w brzuchu, wprawiło Dona w dobry nastrój. Nie zepsuł go nawet widok Keesa Van Stena. Nadchodził gruby, biały, zmartwiony, z oczyma wybałuszonymi jak niebieskie piłeczki golfowe.

— Don — rzekł Kees bez przywitania — drwale znowu polowali na czerwone jelenie w Pasach. W tylnym pokoju Kasyna jest osiemnaście par rogów.

— Nikt nigdy nie powstrzyma kłusowników od kłusowania, Kees.

— Ty możesz ich powstrzymać. Dlatego żyjemy w stanie wyjątkowym, dlatego Armia prowadzi tę kolonię, żeby utrzymać prawo.

Atak frontalny ze strony Grubaska Wielkiej Bańki! To było prawie zabawne.

— Dobra — rzekł Davidson rozsądnie — mógłbym ich

powstrzymać. Ale posłuchaj, ja opiekuję się ludźmi; to moja robota, jak powiedziałeś. I właśnie ludzie się liczą. Nie zwierzęta. Jeśli trochę nielegalnego polowania pomaga ludziom przejść przez to zakazane życie, to ja zamierzam patrzeć na to przez palce. Muszą mieć jakiś wypoczynek.

— Mają gry, sport, własne zainteresowania, filmy, tele-taśmy z każdego większego wydarzenia sportowego ubiegłego wieku, alkohol, marihuanę, halusie i świeżą partię kobiet w Centralu dla tych, którym nie wystarczają mało atrakcyjne środki podjęte przez Armię w celu ułatwienia higienicznego homoseksualizmu. Są zepsuci do zgnilizny, ci twoi bohaterowie pogranicza, ale nie muszą eksterminować rzadkiego miejscowego gatunku „dla wypoczynku". Jeśli nie podejmiesz działań, będę musiał zaznaczyć poważne pogwałcenie Protokołów Ekologicznych w moim raporcie do kapitana Gosse'a.

— Zrób to, jeśli uważasz za stosowne — odparł Davidson, który nigdy nie wpadał w złość. Kiedy taki Euro jak Kees cały czerwieniał na twarzy, tracąc panowanie nad emocjami, widok był dość żałosny.

— To przecież twoja robota. Nie wezmą ci tego za złe; mogą posprzeczać się w Centralu i zdecydować, kto ma rację. Widzisz, Kees, ty chcesz utrzymać to miejsce takie, jakie ono jest. Jak jeden wielki Las Narodowy. Żeby go oglądać, badać. Świetnie, jesteś spec. Ale widzisz, my to tylko prości ludzie pilnujący roboty. Ziemia potrzebuje drewna, bardzo go potrzebuje. Znajdujemy drewno na Nowej Tahiti. Więc — jesteśmy drwalami. Widzisz, różnimy się w tym, że dla ciebie Ziemia tak naprawdę nie jest ważna. Dla mnie jest.

Kees spojrzał na niego kątem tych niebieskich golfowych oczu.

— Naprawdę? Chcesz uczynić ten świat na podobieństwo Ziemi, tak? Betonowej pustyni?

— Kiedy mówię Ziemia, Kees, mam na myśli ludzi. Ludzi. Ty martwisz się o jelenie, drzewa i rośliny włókniste, świetnie, to twoja sprawa. Ale ja lubię widzieć rzeczy z perspektywy, z góry na dół, a góra, jak dotąd, to ludzie. Teraz jesteśmy tutaj; tak więc ten świat pójdzie naszą drogą. Czy ci się to podoba, czy nie, to fakt, któremu musisz stawić czoło; przypadkiem sprawy tak się ułożyły. Słuchaj, Kees, zamierzam skoczyć do Centralu i rzucić okiem na nowych kolonistów. Chcesz lecieć ze mną?

— Nie, dziękuję, kapitanie Davidson — odrzekł spec odchodząc w kierunku baraku laboratoryjnego. Był naprawdę wściekły. Cały wzburzony przez te cholerne jelenie. To wspaniałe zwierzęta, racja. Wyostrzona pamięć Davidsona przywołała pierwszego, jakiego widział, tu na Ziemi Smitha, wielki czerwony cień, dwa metry w kłębie, korona wąskich złotych rogów, chyże, dzielne stworzenie, najwspanialsze zwierzę łowne, jakie można sobie wyobrazić. Tam na Ziemi wprowadzono teraz robojelenie nawet w Wysokich Górach

Skalistych i Parkach Himalajskich; prawdziwe niemal wyginęły. Te były marzeniem myśliwego. A więc będzie się na nie polować. Do diabła, nawet dzikie stworzątka polowały na nie tymi swoimi parszywymi łuczkami. Na jelenie będzie się polować, bo po to są. Ale biedny stary Kees o krwawiącym sercu tego nie wiedział. W rzeczywistości to sprytny facet, ale nie myślący realistycznie, nie wystarczająco twardy. Nie rozumie, że trzeba grać po zwycięskiej stronie albo się przegrywa. A za każdym razem wygrywa człowiek, stary konkwistador.

Davidson szedł miękkimi krokami przez osiedle, mając w oczach poranne słońce i czując w ciepłym powietrzu słodki zapach dymu i piłowanego drewna. Jak na obóz drwali wyglądało to całkiem porządnie. Tych dwustu ludzi ujarzmiło tutaj niezły kawałek puszczy w ciągu tylko trzech ziemskich miesięcy. Obóz Smitha: parę ogromnych wielokątnych kopuł z faliplastu, czterdzieści drewnianych baraków zbudowanych przy użyciu siły roboczej stworzątek, tartak, wypalacz, z którego unosił się pióropusz błękitnego dymu ponad hektarami kłód i pociętego drewna; pod szczytem wzgórza lotnisko i wielki prefabrykowany hangar dla helikopterów i ciężkich maszyn. To wszystko. Lecz kiedy tu przybyli, nie było nic. Drzewa. Ciemne bezładne skupisko i plątanina drzew, nie mająca końca ani sensu. Zadławiona drzewami, leniwie płynąca pod ich gęstwiną rzeka, kilka kolonii stworzątek ukrytych wśród drzew, trochę czerwonych jeleni, włochate małpy, ptaki. I drzewa. Korzenie, pnie, konary, gałązki, liście nad głową i pod stopami, przed nosem i w oczach, nieskończona moc liści na nie kończących się drzewach.

Nowa Tahiti to głównie woda, płytkie ciepłe morza, z których tu i ówdzie wyłaniały się rafy, wysepki, archipelagi i pięć dużych Lądów biegnących 2500 — kilometrowym hakiem przez Ćwierćkulę Północno-Zachodnią. Wszystkie te punkciki i plamki ziemi były pokryte drzewami. Ocean lub las. Taki był wybór na Nowej Tahiti. Woda i słońce lub ciemność i liście.

Lecz teraz byli tu ludzie, aby skończyć z ciemnością i zmienić tę plątaninę drzew w zgrabnie pocięte deski, na Ziemi cenione bardziej od złota. Dosłownie, ponieważ złoto można wydobywać z wody morskiej i spod lodów Antarktydy w przeciwieństwie do drewna; drewno pochodziło jedynie z drzew. A był to na Ziemi luksus rzeczywiście niezbędny. Tak więc pozaziemskie lasy stawały się drewnem. Dwustu ludzi z robopiłami i wyciągarkami już wycięło w ciągu trzech miesięcy na Ziemi Smitha osiem pasów kilometrowej szerokości. Pniaki pasa najbliższego obozowi były już białe i próchniejące; z pomocą chemii rozpadną się w żyzny proch, zanim stali koloniści, farmerzy, przybędą zasiedlić Ziemię Smitha. Farmerzy będą jedynie musieli obsiać ziemię i czekać, aż zakiełkują nasiona.

Już raz tak się zdarzyło. Dziwne, ale właściwie było to dowodem na to, że ludziom było naznaczone przejąć Nową Tahiti. Wszystko, co tutaj się znajdowało, przybyło z Ziemi około miliona lat temu i ewolucja podążała tak podobnymi ścieżkami, że wszystko natychmiast się rozpoznawało: sosnę, dąb, orzech, kasztan, świerk, ostrokrzew, jabłoń, jesion; jelenia, ptaka, mysz, wiewiórkę, małpę. Humanoidzi na Hain-Davenant oczywiście twierdzą, że zrobili to w tym samym czasie, kiedy kolonizowali Ziemię, ale gdyby tak słuchać tych Kosmitów, to okazałoby się, że zasiedlili każdą planetę w Galaktyce i wynaleźli wszystko od seksu do pinezek. Teorie na temat Atlantydy były o wiele bardziej realne, a to równie dobrze mogło być zaginioną kolonią atlantydzką. Lecz ludzie wymarli. A najbardziej zbliżoną istotą, jaka rozwinęła się z linii małp, aby ich zastąpić, było stworzątko — mające metr wzrostu i pokryte zielonym futrem. Jako obcy byli prawie standardowi, ale jako ludzie okazali się niewypałem, po prostu im się nie udało. Może gdyby im dać jeszcze jeden milion lat. Lecz konkwistadorzy przybyli najpierw. Ewolucja posuwała się teraz nie w tempie przypadkowej mutacji raz na tysiąclecie, ale z szybkością statków kosmicznych Ziemskiej Floty.

— Hej, kapitanie!

Davidson odwrócił się spóźniając się z reakcją o mikro-sekundę, ale to wystarczyło, aby go rozdrażnić. Było coś w tej cholernej planecie, w jej złocistym słonecznym blasku i zamglonym niebie, w jej łagodnych wiatrach pachnących próchnicą i pyłkiem, coś, co sprawiało, że człowiek śnił na jawie. Wleczesz się myśląc o konkwistadorach, przeznaczeniu i w ogóle, w rezultacie działasz głupio i powoli jak stworzątko.

— Cześć, Ok! — rzucił energicznie nadzorcy drwali. Czarny i twardy jak stalowa lina, Oknanawi Nabo był fizycznym przeciwieństwem Keesa, ale miał tak samo zmartwiony wygląd.

— Ma pan pół minuty?

— Jasne. Co cię gryzie, Ok?

— Te kurduple.

Oparli się plecami o płot z wiązek łoziny. Davidson zapalił swego pierwszego w tym dniu skręta z marihuany. Światło słoneczne, niebieskie od dymu, ciepłe, padało ukośnie. Las za obozem, szeroki na pół kilometra nie wycięty pas, był pełen delikatnych nieustających srebrzystych trzasków, chichotów, poruszeń i furkotów, jakich pełne są lasy o poranku. Ta polana mogła znajdować się w Idaho w roku 1950. Albo w Kentucky w 1830. Albo w Galii w 50 r. p.n.e.

Ti-wit — odezwał się gdzieś daleko ptak.

— Chciałbym się ich pozbyć, panie kapitanie.

— Stworzą tek? Co masz na myśli, Ok?

— Po prostu puścić ich. Nie mogę z nich wydusić w tartaku tyle

pracy, żeby opłacało się ich utrzymanie. Są takim cholernym utrapieniem. Oni po prostu nie pracują.

— Owszem, jeśli się wie, jak ich zmusić. Wybudowali ten obóz.

Obsydianowa twarz Oknanawiego miała ponury wyraz.

— No, chyba że pan ma do nich dobrą rękę. Ja nie. — Przerwał. — Na kursie historii stosowanej, który robiłem w ramach przygotowań do Dalekiego Zasięgu, mówili, że niewolnictwo nigdy nie wychodziło. Jest nieekonomiczne.

— Racja, ale to nie jest niewolnictwo, Ok. Niewolnicy są ludźmi. Czy kiedy hodujesz krowy, nazywasz to niewolnictwem? Nie. A to wychodzi.

Nadzorca skinął głową obojętnie, ale rzekł:

— Oni są za mali. Próbowałem zagłodzić zaciętych. Po prostu siedzą i głodują.

— Oni są za mali, w porządku, ale nie daj się im okpić. Są twardzi, straszliwie wytrzymali i nie czują bólu tak jak ludzie. Zapominasz o tym, Ok. Myślisz, że jak takiego uderzysz, to jakbyś uderzył dziecko. Uwierz mi, że jeśli chodzi o ich odczucia, to raczej przypomina to uderzenie robota. Słuchaj: spałeś z kilkoma samicami, wiesz, jak zdaje się, że nic nie czują, żadnej przyjemności, żadnego bólu, leżą po prostu jak materace bez względu na to, co robisz. Oni wszyscy są tacy. Prawdopodobnie mają nerwy prymitywniejsze niż ludzie. Jak ryby. Powiem ci coś niesamowitego. Kiedy byłem w Centralu, zanim przyjechałem tutaj, jeden z oswojonych samców rzucił się kiedyś na mnie. Wiem, wszyscy ci powiedzą, że oni nigdy nie walczą, ale ten zwariował, dostał szału i całe szczęście, że nie był uzbrojony, boby mnie zabił. Sam musiałem go prawie zabić, zanim mnie puścił. I ciągle wracał. To niewiarygodne, jak dostał i nawet tego nie poczuł. Jak jakiś chrząszcz, którego musisz rozdeptywać parę razy, bo nie wie, że już jest rozkwaszony. Spójrz na to. — Davidson pochylił krótko ostrzyżoną głowę, aby pokazać guzowatą narośl za uchem. — To był prawie wstrząs mózgu. A zrobił to po tym, jak złamałem mu rękę i zrobiłem z twarzy sos żurawinowy. Ciągle wracał i wracał. W tym rzecz, Ok, że stworzątka są leniwe, tępe, zdradliwe i nie czują bólu.

Musisz być dla nich twardy i musisz dla nich twardy pozostać.

— Nie są warci takiego zachodu, panie kapitanie. Cholerne ponure kurduple, nie chcą walczyć, nie chcą pracować, nie chcą nic. Oprócz działania mi na nerwy.

W narzekaniu Oknanawiego była swoista wesołość, spod której wyzierał upór. Nie będzie bił stworzątek, ponieważ były o wiele mniejsze; to było dla niego jasne, tak jak i teraz dla Davidsona, który od razu to zaakceptował. Wiedział, jak postępować ze swymi ludźmi.

— Słuchaj, Ok. Spróbuj tego. Wybierz prowodyrów i powiedz, że

wstrzykniesz im dawkę halucynogenu. Meskaliny, LSD, czegokolwiek, oni ich nie rozróżniają. Ale się ich boją. Nie wykorzystuj tego za często, a uda ci się. Gwarantuję.

— Dlaczego boją się halusiów? — zapytał nadzorca z ciekawością.

— Skąd mam wiedzieć? Dlaczego kobiety boją się szczurów? Nie spodziewaj się zdrowego rozsądku u kobiet i stworzątek, Ok! A skoro mowa o kobietach, wybieram się dziś rano do Centralu; czy mam zainteresować się jakąś dziewczyną dla ciebie?

— Wystarczy, jeśli zostawisz kilka z nich w spokoju, aż dostanę przepustkę — rzekł Ok szczerząc zęby w uśmiechu. Grupa stworzątek przeszła obok, niosąc długą belkę o przekroju 30 x 30 na budowę sali rekreacyjnej wznoszonej właśnie nad rzeką. Powolne, człapiące postacie ciągnęły z wysiłkiem dużą belkę jak mrówki martwą gąsienicę posępnie i niezręcznie. Oknanawi obserwował je przez chwilę i rzekł:

— Tak naprawdę, panie kapitanie, to ciarki mnie od nich przechodzą.

Było to dziwne u takiego twardego, spokojnego faceta jak Ok.

— Cóż, w gruncie rzeczy zgadzam się z tobą, Ok, że nie są warci zachodu ani ryzyka. Gdyby nie plątał się tu ten wypierdek Ljubow i gdyby pułkownik nie upierał się postępować zgodnie z Kodeksem, myślę, że moglibyśmy po prostu oczyścić tereny pod zasiedlenie zamiast tej całej Pracy Ochotniczej. Prędzej czy później zostaną sprzątnięci i równie dobrze mogłoby to być prędzej. Po prostu sprawy tak się mają. Rasy prymitywne zawsze muszą ustąpić rasom cywilizowanym. Albo dać się zasymilować. Ale, do diabła, przecież nie możemy zasymilować kupy zielonych małp. I tak jak mówisz, są wystarczająco bystrzy, żeby nigdy nie można było zupełnie im ufać. Tak jak te duże małpy, które żyły w Afryce, jak one się nazywały?

— Goryle?

— Właśnie. Lepiej nam tu będzie bez stworzątek, tak jak lepiej jest nam w Afryce bez goryli. Zawadzają nam… Ale Tata Ding-Dong każe wykorzystywać pracę stworzątek, więc wykorzystujemy pracę stworzątek. Na razie. W porządku? Do zobaczenia wieczorem, Ok.

— Tak jest, panie kapitanie.

Davidson pokwitował wzięcie skoczka w dowództwie Obozu Smitha. W sześcianie z sosnowych desek o boku czterech metrów, dwa biurka, klimatyzator, porucznik Birno naprawiał krótkofalówkę.

— Nie daj spalić obozu, Birno.

— Niech mi pan przywiezie dziewuchę, kapitanie. Blondynkę. 85 — 55 — 90.

— Chryste, to wszystko?

— Lubię, jak są zgrabne, a nie rozlazłe. — Birno wymownie nakreślił w powietrzu swe preferencje. Szczerząc zęby w uśmiechu

Davidson poszedł pod górę do hangaru. Kiedy już leciał w helikopterze nad obozem, spojrzał w dół: dziecięce klocki, ścieżki jak narysowane, długie polany najeżone pniakami; wszystko to kurczyło się, w miarę jak maszyna się wznosiła i Davidson ujrzał zieleń nietkniętych lasów wielkiej wyspy, a poza tą ciemną zielenią ciągnącą się w dal jasną zieleń morza. Obóz Smitha wyglądał teraz jak żółta kropka, plamka na rozległym zielonym gobelinie.

Przeciął Cieśniny Smitha i zalesione, stromo opadające łańcuchy górskie na północy Wyspy Centralnej. Przed południem wylądował w Centralu przypominającym miasto, przynajmniej po trzech miesiącach pobytu w lasach: prawdziwe budynki, prawdziwe ulice — miasto znajdowało się tam od czasu założenia Kolonii cztery lata temu. Nie widziało się, jakim kruchym i małym miastem granicznym było w rzeczywistości, dopóki nie spojrzało się kilometr na południe i nie ujrzało pojedynczej złocistej wieży błyszczącej nad wyrębami i betonowymi plackami, wyższej niż cokolwiek w Centralu. Statek nie był duży, ale tutaj takie sprawiał wrażenie. A był to tylko ładownik, szalupa; liniowiec NAFAL-u, Shackleton, znajdował się na orbicie odległej o pół miliona kilosów. Ładownik tylko zapowiadał wielkość, moc, złotą precyzję i wspaniałość technologii Ziemi, przerzucając most między gwiazdami.

Dlatego też na widok statku z domu w oczach Davidsona na sekundę stanęły łzy. Nie wstydził się tego. Był patriotą, po prostu tak właśnie został skonstruowany.

Wędrując tymi ulicami miasta z pogranicza, gdzie na wszystkich końcach rozciągały się szerokie, ale nieciekawe widoki, Davidson wkrótce zaczął się uśmiechać. Bo były tam kobiety, owszem, i widziało się, że są świeże. Nosiły w większości długie obcisłe spódnice i wysokie buty podobne do kaloszy, czerwone, fioletowe lub złote oraz złote lub srebrne marszczone koszule. Żadnych cycdziurek. Moda się zmieniła: fatalnie. Wszystkie miały włosy zebrane wysoko u góry; pewnie je spryskiwały tym swoim klejem. Brzydkie jak noc, ale tylko kobiety mogły zrobić coś takiego z włosami, więc było to prowokujące.

Davidson uśmiechnął się do piersiastej małej Eurafki o niezwykle gęstych i bujnych włosach; nie odwzajemniła uśmiechu, ale kołysanie jej oddalających się bioder mówiło wyraźnie: chodź, chodź, chodź za mną. Lecz nie poszedł. Nie teraz. Ruszył do dowództwa Centralu (wyposażenie standardowe z prędkamienia i plastipłyt, czterdzieści biur, dziesięć klimatyzatorów i skład broni w podziemiach) i zameldował się w Dowództwie Centralnej Administracji Kolonialnej Nowej Tahiti. Spotkał parę osób z załogi ładownika, złożył w Leśnictwie zamówienie na nowy półautomatyczny korownik i umówił się ze starym kumplem Juju Serengiem w barze Luau o czternastej.

Przyszedł do baru o godzinę wcześniej, żeby trochę zjeść, nim zacznie się picie. Był tam Ljubow z paroma facetami w mundurach Floty, jakimiś specami, którzy przybyli w ładowniku Shackletona. Davidson nie żywił zbytniego respektu dla ludzi z Floty, wyelegantowanych skoczków słonecznych, którzy zostawili Armii brudną, błotnistą, niebezpieczną robotę na planetach; ale ranga to ranga i w każdym razie śmiesznie było widzieć Ljubowa w serdecznych stosunkach z kimkolwiek w mundurze. Mówił coś, wymachując rękami w ten swój zwykły sposób. Przechodząc Davidson klepnął go w ramię i powiedział:

— Cześć, Raj, stary byku, jak tam leci?

Poszedł dalej nie czekając na jego kwaśne spojrzenie, choć bardzo chciał je zobaczyć. Ljubow go nienawidził w naprawdę śmieszny sposób. Prawdopodobnie facet był zniewieściały jak wielu intelektualistów i czuł niechęć do Davidsona z powodu jego męskości. W każdym razie Davidson nie miał zamiaru tracić czasu na nienawiść do Ljubowa, nie był tego wart.

W Luau podawali pierwszorzędny stek z dziczyzny. Co by powiedzieli na starej Ziemi zobaczywszy, jak jeden człowiek zjada kilogram mięsa podczas posiłku? Biedni cholerni zjadacze soi! A potem przyszedł Juju z — tak jak Davidson oczekiwał — najlepszymi spośród nowych dziewczyn: dwiema soczystymi pięknościami, nie spośród żon, lecz personelu rozrywkowego. Och, stara Administracja Kolonialna potrafiła czasami spełnić oczekiwania! Było długie, gorące popołudnie.

Lecąc z powrotem do obozu przeciął Cieśniny Smitha na poziomie słońca, które leżało nad morzem na wielkiej złotej poduszce lekkiej mgły. Śpiewał, wygodnie rozwalony w fotelu pilota. W polu widzenia pojawiła się Ziemia Smitha spowita mgiełką, a nad obozem unosił się ciemną plamą dym, jakby do pieca na odpadki dostała się ropa. Nawet nie mógł dostrzec budynków przez tę zasłonę. Dopiero kiedy opadł na lądowisko, zobaczył osmalony odrzutowiec, zniszczone skoczki, wypalony hangar.

Wyciągnął skoczka w górę i z powrotem poleciał nad obozem tak nisko, że mógłby zderzyć się z wysokim stożkiem pieca, jedyną rzeczą, która sterczała z rumowiska. Reszta nie istniała, tartak, piec, skład drzewa, dowództwo, chaty, baraki, ogrodzenie dla stworzątek, nic. Czarne kadłuby i jeszcze dymiące wraki. Ale to nie był pożar lasu. Las trwał, zielony, obok ruin. Davidson zawrócił łukiem do lądowiska, posadził maszynę i wysiadł szukając motoroweru, ale on także był tylko czarnym wrakiem, tak jak i śmierdzące, żarzące się szczątki hangaru i maszyn. Zbiegł ścieżką do obozu. Mijając to, co kiedyś było barakiem radiowym, nagle oprzytomniał. Nie zwalniając kroku skręcił ze ścieżki za wypaloną szopę. Tam się zatrzymał. Nasłuchiwał.

Nikogo nie było. Panowała cisza. Pożary już się dawno wypaliły; tylko wielkie stosy drewna jeszcze żarzyły się przeświecając gorącą czerwienią spod popiołu i węgla. Cenniejsze od złota były te podłużne kupy popiołu. Lecz żaden dym nie unosił się z czarnych szkieletów baraków i szop; a wśród popiołu leżały kości.

Jego umysł był absolutnie jasny i funkcjonował sprawnie, kiedy Davidson przyczaił się za barakiem radiowym. Istniały dwie możliwości. Pierwsza: atak z innego obozu. Jakiś oficer z Królewskiej albo Nowej Jawy oszalał i usiłował dokonać coup de planetę. Druga: atak spoza planety. Ujrzał złocistą wieżę w doku kosmicznym w Centralu. Ale jeśli Shackleton poszedł na piractwo, dlaczego miałby zacząć od zniszczenia małego obozu zamiast przejąć Central? Nie, to musi być inwazja, obcy. Jakaś nieznana rasa, może Cetianie czy Kainowie zdecydowali się wkroczyć do ziemskich kolonii. Nigdy nie ufał tym cholernym sprytnym humanoidom. To musiał być wybuch bomby termicznej. Oddział inwazyjny wraz z odrzutowcami, autolotami, nukami mógł łatwo ukryć się na jakiejś wyspie czy rafie położonej gdziekolwiek na Ćwierćkuli Południowo-Zachodniej. Musi wrócić do skoczka i nadać alarm, a potem rozejrzeć się, przeprowadzić rekonesans, żeby móc przekazać Dowództwu swoją ocenę zaistniałej sytuacji. Właśnie się wyprostowywał, kiedy usłyszał głosy.

Nie były to ludzkie głosy. Wysokie, ciche, bełkotliwe. Obce.

Przypadłszy na dłoniach i kolanach za plastykowym dachem szopy leżącym na ziemi i zdeformowanym przez gorąco w kształt skrzydła nietoperza, Davidson znieruchomiał i wytężył słuch.

Kilka metrów od niego przeszły ścieżką cztery stworzątka. Były to dzikie stworzątka nie mające na sobie nic poza luźnymi pasami ze skóry, na których wisiały noże i woreczki. Żaden nie nosił szortów i skórzanej obroży dostarczanych oswojonym stworzątkom. Ochotnicy w zagrodzie na pewno zostali spaleni razem z ludźmi.

Zatrzymały się niedaleko jego kryjówki, bełkocząc do siebie powoli i Davidson wstrzymał oddech. Nie chciał, żeby go zauważyły. Co, do diabła, robiły tutaj stworzątka? Mogły jedynie być szpiegami i zwiadowcami najeźdźców.

Jeden z nich wskazał na południe mówiąc coś i odwrócił się, tak że Davidson zobaczył jego twarz. I rozpoznał ją. Stworzątka wyglądały jednakowo, ale ten był inny. Davidson złożył swój podpis na owej twarzy nie dalej jak rok temu. To był ten, który oszalał i zaatakował go w Centralu, ten morderca, ulubieniec Ljubowa. Co on, u diabła, tutaj robił?

Umysł Davidsona działał prędko, zaskoczył; reagując szybko, jak zwykle, wstał nagle, wysoki, swobodny, z pistoletem w ręku.

— Stworzątka! Zatrzymać się. Stać w miejscu. Nie ruszać się!

Jego głos zabrzmiał jak trzask z bata. Cztery małe zielone istotki

nie poruszyły się. Ten z rozbitą twarzą spojrzał na niego ponad czarnym rumowiskiem ogromnymi, pustymi oczami pozbawionymi światła.

— Odpowiadać. Ten ogień. Kto go zaczaił Żadnej odpowiedzi.

— Odpowiadać szybko-szybko! Nie ma odpowiedzi, ja spalę jednego, potem jednego, potem jednego, rozumiecie? Ten ogień, kto go zaczaił

— My spaliliśmy obóz, kapitanie Davidson — powiedział ten z Centralu dziwnym miękkim głosem, który przypominał Davidsonowi jakiegoś człowieka. — Wszyscy ludzie nie żyją.

— Wy go spaliliście, co to ma znaczyć?

Z jakiegoś powodu nie potrafił przypomnieć sobie imienia Szpetnej Twarzy.

— Było tu dwustu ludzi. Dziewięćdziesięciu niewolników z mojego plemienia. Dziewięciuset z mojego plemienia wyszło z lasu. Najpierw zabiliśmy ludzi w lesie, gdzie wycinali drzewa, potem zabiliśmy tych tutaj, kiedy paliły się domy. Myślałem, że ciebie też zabito. Cieszę się, że cię widzę, kapitanie Davidson.

To wszystko było szalone i oczywiście nieprawdziwe. Nie mogli zabić ich wszystkich, Oka, Birno, van Stena, całej reszty, dwustu ludzi, niektórzy musieli się wymknąć. Stworzątka miały tylko łuki i strzały. W każdym razie stworzątka nie mogły tego zrobić. Stworzątka nie walczyły, nie zabijały, nie znały wojen. Były nieagresywne między gatunkowo, to znaczy stanowiły łatwy cel. Nie oddawały ciosów. To diabelnie jasne, że nie zmasakrowały dwustu ludzi za jednym zamachem. To szaleństwo. Ta cisza, słaby swąd spalenizny w ciepłym świetle wieczoru, te obserwujące go jasnozielone twarze o nieruchomych oczach, to wszystko się sumowało w nic, a jeżeli, to w zwariowany koszmar.

— Kto to za was zrobił?

— Dziewięciuset z mojego plemienia — powiedział Szpetna Twarz tym cholernym udawanym ludzkim głosem.

— Nie, nie to. Kto jeszcze. Na czyją rzecz działaliście? Kto wam powiedział, co macie robić?

— Moja żona.

Davidson zauważył wtedy wymowne napięcie w postaci stworzątka, a jednak skoczyło na niego tak szybko i skrycie, że jego strzał chybił, spalając rękę czy ramię, zamiast trafić prosto w oczy. A stworzątko już na nim siedziało, mimo wzrostu i wagi o połowę mniejszej od Davidsona, wytrąciwszy go z równowagi swym skokiem, bo Davidson polegał na pistolecie i nie spodziewał się ataku. Ramiona stworzątka były chude, twarde i pokryte szorstkim futrem; kiedy je ściskał szamocząc się z nim, zaśpiewało.

Leżał na plecach, przyciśnięty do ziemi, rozbrojony. Cztery

zielone pyski patrzyły na niego z góry. Ten z zeszpeconą twarzą ciągle śpiewał: był to zdyszany bełkot, ale melodyjny. Pozostała trójka słuchała pokazując w uśmiechu białe zęby. Nigdy nie widział uśmiechu stworzątka. Nigdy nie patrzył na twarz stworzątka z dołu. Zawsze w dół, z góry. Z wysoka. Próbował się szamotać, lecz w tej chwili był to wysiłek zmarnowany. Choć niewielkiego wzrostu, było ich więcej, a Szpetna Twarz miał jego pistolet. Musiał czekać. Ale było mu niedobrze, mdłości wykręcały mu ciało wbrew jego woli. Małe ręce przyciskały go do ziemi bez wysiłku, małe zielone twarze kiwały się nad nim z uśmiechem.

Szpetna Twarz zakończył pieśń. Ukląkł na piersiach Davidsona z nożem w jednej ręce i jego pistoletem w drugiej.

— Czy to prawda, kapitanie Davidson, że nie umiesz śpiewać? Dobrze więc, możesz pobiec do swego skoczka i odlecieć, i powiedzieć pułkownikowi w Centralu, że to miejsce jest spalone, a wszyscy ludzie zabici.

Krew, o dziwo, tak samo czerwona jak krew ludzka, skleiła futro na prawym ramieniu stworzątka, a nóż drgał w zielonej łapie. Ostra, przecięta bliznami twarz spojrzała na Davidsona z bardzo bliska, i dostrzegł on teraz dziwne światło płonące głęboko w czarnych jak węgiel oczach. Głos był nadal miękki i cichy.

Puścili go.

Podniósł się ostrożnie, ciągle jeszcze zamroczony od upadku. Stworzątka stały teraz w porządnej odległości, wiedząc, że jego zasięg był dwa razy większy niż ich; lecz Szpetna Twarz nie był jedynym uzbrojonym stworzątkiem; jeszcze jeden pistolet był wymierzony w jego brzuch. To Ben trzymał broń. Jego własne stworzątko Ben, ten mały, szary, parszywy kurdupel, wyglądał głupio jak zwykle, ale trzymał pistolet.

Trudno odwrócić się plecami do dwóch wycelowanych pistoletów, ale Davidson to zrobił i ruszył w kierunku lądowiska.

Głos za nim wymówił cienko i głośno jakieś stworzątkowe słowo. Inny powiedział: „Szybko-szybko” i dał się słyszeć dziwny dźwięk jak świergotanie ptaków, który musiał być śmiechem stworzątek. Huknął strzał i powietrze zagwizdało tuż obok niego. Chryste, to nieuczciwe, oni mają pistolety, a on jest nie uzbrojony. Ruszył biegiem. Mógł prześcignąć każde stworzątko. Nie umieli strzelać.

— Biegnij — powiedział cichy głos daleko za nim. To był Szpetna Twarz. Selver, tak się nazywał. Wołali na niego Sam do czasu, kiedy Ljubow powstrzymał Davidsona przed daniem mu tego, na co zasłużył, i przygarnął go. Od tego czasu nazywali go Selver. Chryste, co to wszystko było, to koszmar. Pobiegł. Krew pulsowała mu w uszach. Biegł przez złocisty, zasnuty dymem wieczór. Przy ścieżce leżało ciało, nawet go nie zauważył biegnąc do obozu. Nie było spalone, wyglądało

jak biały balon, z którego uszło powietrze. Miało wytrzeszczone niebieskie oczy. Nie ośmielili się zabić jego, Davidsona. Nie wystrzelili do niego drugi raz. To było niemożliwe. Nie mogli go zabić. Wreszcie skoczek, bezpieczny i lśniący. Rzucił się na fotel i wystartował, zanim stworzątka mogły spróbować czegokolwiek. Ręce mu drżały, ale nie za bardzo, tylko od szoku. Nie mogli go zabić. Okrążył wzgórze i zawrócił szybko i nisko szukając czterech stworzątek. Nic się jednak nie ruszało w dymiących gruzach obozu.

Dzisiaj rano był tu obóz. Dwustu ludzi. Dopiero co były tam cztery stworzątka. Nie przyśniło mu się to wszystko. Nie mogły tak po prostu zniknąć. Były tam, ukryte. Otworzył ogień z karabinu maszynowego umieszczonego w dziobie skoczka i przeczesał spaloną ziemię, przedziurawił zielone liście lasu, ostrzelał spalone kości i zimne ciała swych ludzi, zniszczone maszyny i gnijące białe pniaki, ciągle nawracając, aż wyczerpała się amunicja i ucichły serie wystrzałów.

Teraz ręce Davidsona były spokojne, miał uczucie zaspokojenia i wiedział, że nie zaskoczył go żaden sen. Skierował się z powrotem nad cieśniny, aby zanieść wiadomość do Centralu. Podczas lotu czuł, jak jego twarz wygładza się w zwykłe spokojne rysy. Nie mogą winić go za katastrofę, bo nawet go tam nie było. Może uznają, że było znamienne, iż stworzątka uderzyły podczas jego nieobecności, wiedząc, że im się nie uda, jeśli on tam będzie i zorganizuje obronę. I wyjdzie z tego jedna dobra rzecz. Postąpią tak, jak powinni zrobić od początku, i oczyszczą planetę pod ludzką kolonizację. Nawet Ljubow nie będzie mógł ich teraz powstrzymać przed sprzątnięciem stworzątek, skoro usłyszą, że masakrze przewodziło ulubione stworzątko Ljubowa! Teraz na pewien czas pójdą na odszczurzanie; i może, istnieje taka drobna możliwość, że jemu przekażą tę robótkę. Na tę myśl mógłby się nawet uśmiechnąć. Lecz twarz pozostała niewzruszona.

Morze w dole było szarawe o zmierzchu, a przed nim leżały w mroku wzgórza wysp, wysokie lasy o wielu strumieniach, o wielu liściach.

2.

Wszystkie odcienie rdzy i zachodu słońca, brązowawe czerwienie i jasne zielenie, zmieniały się nieustannie w długich liściach poruszanych wiatrem. Korzenie wierzby miedzianej, grube i o spękanej korze, były zielone od mchu na dole przy strumieniu, który jak wiatr płynął powoli wśród licznych małych wirów i pozornych zawahań, wstrzymywany przez głazy, korzenie, zwieszające się i opadłe liście. W lesie żadna droga nie była wyraźna, żadne światło nie padało prosto.

W blask słoneczny, blask gwiazd, wiatr, wodę, zawsze wsuwał się jakiś liść i gałąź, pień i korzeń, to co cieniste, złożone. Pod gałęziami, wokół pni, nad korzeniami biegły wąskie ścieżki; nigdy nie prowadziły prosto, ale omijały każdą przeszkodę, poskręcane jak nerwy. Ziemia nie była sucha i twarda, lecz wilgotna i dość sprężysta, produkt współpracy istot żywych z długą, złożoną śmiercią liści drzew; a z tego żyznego cmentarza wyrastały i trzydziesto-metrowe drzewa, i maleńkie grzybki, tworzące grupki o średnicy centymetra. Powietrze pachniało subtelnie, różnorodnie i słodko. Perspektywa nigdy nie była daleka, chyba że spojrzawszy w górę przez gałęzie dostrzegło się gwiazdy. Nic nie było czyste, suche, jałowe i proste.

Brakowało objawienia. Nie można było zobaczyć wszystkiego od razu: żadnej pewności. Odcienie rdzy i zachodu słońca ciągle zmieniały się w zwisających liściach wierzb miedzianych i nie można było powiedzieć, czy liście wierzb były brązowoczerwone, czerwonawozielone, czy zielone.

Selver szedł wolno ścieżką nad wodą, często potykając się o wierzbowe korzenie. Zobaczył śniącego starca i zatrzymał się. Starzec spojrzał nań poprzez drugie liście wierzb i dostrzegł go w swoich snach.

— Czy mogę wejść do twego Szałasu, mój Panie Snów? Przebyłem długą drogę.

Starzec siedział nieruchomo. Selver przysiadł na piętach tuż obok ścieżki, przy strumieniu. Głowa opadła mu na piersi, bo był wycieńczony i potrzebował snu. Szedł pięć dni.

— Czy pochodzisz z czasu snu czy z czasu świata? — zapytał w końcu starzec.

— Z czasu świata.

— Chodź więc ze mną. — Starzec wstał szybko i poprowadził Selvera wijącą się ścieżką z zagajnika wierzbowego pod górę w bardziej suche tereny dębu i głogu. — Wziąłem cię za boga — rzekł idąc o krok z przodu. — I wydawało mi się, że już cię kiedyś widziałem, może we śnie.

— Nie w czasie świata. Pochodzę z Sornolu, nigdy przedtem tu nie byłem.

— To miasto to Cadast. Jestem Córo Mena. Od Białego Głogu.

— Ja jestem Selver. Od Jesionu.

— Są wśród nas Jesionowi ludzie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Także twoje klany małżeńskie, Brzoza i Ostro-krzew; nie mamy żadnych kobiet od Jabłoni. Lecz ty nie przychodzisz w poszukiwaniu żony, prawda?

— Moja żona nie żyje — powiedział Selver.

Przyszli do Szałasu Mężczyzn, położonego na wzniesieniu wśród młodych dębów. Zatrzymali się i wczołgali przez tunel wejściowy. Wewnątrz w blasku ognia starzec powstał, lecz Selver został skulony na czworakach, niezdolny się podnieść. Teraz, kiedy pomoc i wygody były w zasięgu ręki, jego ciało, które wyeksploatował zbyt mocno, nie mogło ruszyć się dalej. Położył się, jego oczy się zamknęły i Selver osunął się z ulgą i wdzięcznością w ogromną ciemność.

Mężczyźni Szałasu Cadast zaopiekowali się nim, przybył ich uzdrowiciel, aby zająć się raną w jego prawym ramieniu. W nocy Córo Mena i uzdrowiciel Torber siedzieli przy ogniu. Większość innych mężczyzn była wówczas ze swymi żonami; na ławkach siedziało tylko dwóch młodych adeptów śnienia, ale obaj szybko zapadli w sen.

— Nie wiem, od czego można mieć takie blizny, jakie on ma na twarzy — rzekł uzdrowiciel — a tym bardziej taką ranę w ramieniu. Bardzo dziwna rana.

— Dziwne urządzenie miał przy pasie — powiedział Córo Mena.

— Nie widziałem go.

— Położyłem je pod jego ławką. Wygląda jak polerowane żelazo, ale nie jak dzieło ludzi.

— Pochodzi z Sornolu, powiedział mi.

Przez chwilę obaj milczeli. Córo Mena poczuł, jak ogarnia go bezrozumny strach, i osunął się w sen, aby odnaleźć jego przyczynę; był bowiem człowiekiem starym i bardzo biegłym. We śnie chodziły olbrzymy, ciężkie i straszne. Ich suche łuskowate kończyny spowijała tkanina; ich oczy były małe i jasne jak blaszane paciorki. Za nimi sunęły ogromne ruchome twory zrobione z polerowanego żelaza. Przed nimi padały drzewa.

Spośród walących się drzew wybiegł głośno krzycząc człowiek z krwią na ustach. Ścieżka, którą biegł, wiodła do bramy Szałasu Cadast.

— No cóż, nie ma wątpliwości — rzekł Córo Mena wysuwając się ze snu. — Przybył przez morze prosto z Sornolu albo też piechotą z wybrzeża Kelme Deva na naszej własnej ziemi. Podróżnicy mówią, że olbrzymy są w obu tych miejscach.

— Czy pójdą za nim — odezwał się Torber; żaden z nich nie odpowiedział na pytanie, które nie było pytaniem, lecz stwierdzeniem

możliwości.

— Widziałeś kiedyś olbrzymów, Córo?

— Raz — odparł starzec.

Zasnął; czasami, ponieważ był bardzo stary i nie tak silny jak dawniej, osuwał się na chwilę w sen. Wstał dzień, minęło południe. Na zewnątrz Szałasu wyruszała grupa myśliwych, szczebiotały dzieci, słychać było rozmowy kobiet brzmiące jak szmer płynącej wody. Suchszy głos zawołał do Córo Meny od wejścia. Wyczołgał się w wieczorny blask słoneczny. Jego siostra stała na zewnątrz, z przyjemnością wciągając nosem aromatyczne powietrze, ale i tak wyglądała surowo.

— Czy obcy zbudził się, Córo?

— Jeszcze nie. Torber nad nim czuwa.

— Musimy usłyszeć jego opowieść.

— Niewątpliwie obudzi się wkrótce.

Ebor Dendep zmarszczyła brwi. Jako przywódczyni Cadastu troszczyła się o bezpieczeństwo swoich ludzi; lecz nie chciała prosić, aby niepokojono rannego, ani nie chciała urazić śniących egzekwowaniem swego prawa do wejścia do ich Szałasu.

— Czy nie możesz obudzić go, Córo? — zapytała w końcu. — A jeśli… go ścigają?

Nie potrafił panować nad emocjami swojej siostry jak nad swoimi, ale je wyczuwał; jej niepokój ukłuł go.

— Dobrze, jeśli Torber pozwoli — powiedział.

— Spróbuj szybko dowiedzieć się, jakie ma wieści. Szkoda, że nie jest kobietą; mówiłby z sensem.

Obcy zbudził się i leżał w gorączce w półmroku Szałasu. Nie kontrolowane sny choroby tańczyły mu w oczach. Usiadł jednak i mówił spokojnie. Gdy Córo Mena słuchał, jego kości zdawały się kurczyć, próbując się ukryć przed tą straszną opowieścią, tym nowym.

— Kiedy mieszkałem w Eshreth w Sornolu, nazywałem się Server Thele. Moje miasto zniszczyli jumeni, kiedy wycięli drzewa na tym obszarze. Byłem jednym z tych, których zmusili do służenia im, razem z moją żoną Thele. Została zgwałcona przez jednego z nich i umarła. Ja zaatakowałem jumena, który ją zabił. Zabiłby i mnie, ale inny z nich uratował mnie i uwolnił. Opuściłem Sornol, gdzie teraz żadne miasto nie jest bezpieczne od jumenów, przybyłem tu na Wyspę Północną i mieszkałem na wybrzeżu Kelme Deva w Czerwonych Gajach. Wkrótce przybyli tam jumeni i zaczęli wycinać świat. Zniszczyli miasto, Penle. Schwytali setkę mężczyzn i kobiet, zmusili ich do służenia im i mieszkania w ogrodzeniu. Mnie nie złapali. Mieszkałem z innymi, którzy uciekli z Penle, na mokradłach na północ od Kelme Deva. Czasami nocą chodziłem do ludzi w zagrodach jumenów. Powiedzieli mi, że on tam jest. Ten, którego próbowałem

zabić. Najpierw myślałem, żeby znowu spróbować; albo wypuścić ludzi z ogrodzenia na wolność. Lecz cały czas patrzyłem, jak padają drzewa, i widziałem, jak oni wycinają dziurę w świecie i zostawiają go, aby gnił. Mężczyźni mogli uciec, ale kobiety zamknięto lepiej i nie mogły. Zaczynały umierać. Rozmawiałem z ludźmi ukrywającymi się na mokradłach. Wszyscy byliśmy bardzo przestraszeni i rozgniewani, a nie mieliśmy sposobu, aby wyzwolić nasz strach i gniew. Więc w końcu po długich rozmowach i długich snach, i planowaniu, poszliśmy w dzień i zabiliśmy jumenów z Kelme Deva strzałami i włóczniami myśliwskimi, spaliliśmy ich miasto i maszyny. Niczego nie zostawiliśmy. Lecz on odszedł. Wrócił sam. Śpiewałem nad nim i pozwoliłem mu odejść. Selver zamilkł.

— A potem? — wyszeptał Córo Mena.

— A potem przyleciał latający statek z Sornolu i polował na nas w lesie, ale nikogo nie znalazł. Więc podpalili las; ale padało, więc nie wyrządzili dużej krzywdy. Większość ludzi uwolniona z zagród poszła wraz z innymi dalej na północ i wschód, w kierunku wzgórz Holle, bo obawialiśmy się, że może przybyć wielu jumenów, aby na nas polować. Ja szedłem sam. Widzicie, jumeni znają mnie, znają moją twarz; a to przeraża mnie i tych, u których się zatrzymuję.

— Co to za rana? — zapytał Torber.

— Ta — trafił mnie z tej swojej broni; ale pokonałem go śpiewem i puściłem.

— Sam pokonałeś olbrzyma? — rzekł Torber uśmiechając się dziko, pragnąc uwierzyć.

— Nie sam. Z trzema myśliwymi i z jego bronią w ręku — z tym.

Torber cofnął się.

Żaden z nich przez chwilę nic nie mówił. W końcu odezwał się Córo Mena:

— To co nam opowiadasz, jest bardzo czarne, a droga wiedzie w dół. Czy jesteś Śniącym swego Szałasu?

— Byłem. Nie ma już Szałasu Eshreth.

— Wszystko jest jednością; razem mówimy Starym Językiem. Wśród wierzb Asty po raz pierwszy przemówiłeś do mnie, nazywając mnie Panem Snów. Jestem nim. Czy ty śnisz, Selverze?

— Teraz rzadko — odparł Selver zgodnie z rytuałem, skłoniwszy głowę.

— Na jawie?

— Na jawie.

— Czy śnisz dobrze?

— Nie najlepiej.

— Czy trzymasz sen w dłoniach?

— Tak.

— Czy tkasz i formujesz, prowadzisz i idziesz za wezwaniem,

zaczynasz i przestajesz, kiedy chcesz?

— Czasami, nie zawsze.

— Czy potrafisz iść drogą, którą wiedzie twój sen?

— Czasami. Czasami się boję.

— Kto się nie boi? Nie jest z tobą tak zupełnie źle, Selverze.

— Nie, jest zupełnie źle — rzekł Selver. — Nie ma już nic dobrego. — Zaczai drżeć.

Torber dał mu napój wierzbowy do wypicia i zmusił do położenia się. Córo Mena ciągle nie zadał pytania od Ebor Dendep; zrobił to z wahaniem, klęcząc przy chorym.

— Czy olbrzymi, jumeni, jak ich nazywasz, czy oni pójdą twoimi śladami, Selverze?

— Nie zostawiłem żadnych śladów. Nikt mnie nie widział pomiędzy Kelme Deva i tym miejscem, sześć dni. Nie tu leży niebezpieczeństwo. — Z wysiłkiem usiadł ponownie. — Słuchajcie, słuchajcie. Wy nie widzicie niebezpieczeństwa. Jak możecie je zobaczyć? Nie robiliście tego, co ja, nigdy o tym nie śniliście, o zabiciu dwustu istot. Nie przyjdą za mną, ale mogą przyjść za nami wszystkimi. Polować na nas, jak myśliwi polują na króliki. Oto niebezpieczeństwo. Mogą spróbować nas zabić. Zabić nas wszystkich, wszystkich ludzi.

— Połóż się…

— Nie, ja nie majaczę, to prawdziwy fakt i sen. W Kelme Deva było dwustu jumenów i wszyscy nie żyją. My ich zabiliśmy. Zabiliśmy, jakby nie byli ludźmi. Czy więc nie zwrócą się przeciw nam i nie zrobią tego samego? Zabijali nas pojedynczo, teraz będą zabijać nas, jak zabijają drzewa, setkami, setkami, setkami.

— Uspokój się — rzekł Torber. — Takie rzeczy zdarzają się we śnie z gorączki, Selverze. Nie zdarzają się na świecie.

— Świat jest zawsze nowy — powiedział Córo Mena — bez względu na to, jak stare są jego korzenie. Więc jak to jest z tymi istotami, Selverze? Wyglądają jak ludzie i mówią jak ludzie, a nie są ludźmi?

— Nie wiem. Czy ludzie zabijają ludzi, chyba że w napadzie szału? Czy jakiekolwiek zwierzę zabija swych współplemieńców? Tylko owady. Ci jumeni zabijają nas tak łatwo, jak my zabijamy węże. Ten, który mnie uczył, powiedział, że zabijają się nawzajem w kłótniach, a także grupami, jak walczące mrówki. Nie widziałem tego. Ale wiem, że nie oszczędzają tego, kto prosi o życie. Uderzą w pochyloną szyję, widziałem to! Jest w nich pragnienie zabijania i dlatego uznałem, że należy ich unicestwić.

— A wszystkie sny ludzi — rzekł Córo Mena siedzący w mroku ze skrzyżowanymi nogami — zostaną zmienione. Już nigdy nie będą takie same. Nigdy nie będę szedł tą ścieżką, którą przyszedłem z tobą

wczoraj, ścieżką prowadzącą z wierzbowego gaju — po której chodziłem całe życie. Jest zmieniona. Ty nią szedłeś i jest ona całkowicie zmieniona. Zanim nastał ten dzień, to co mieliśmy do zrobienia, było właściwe; droga, którą mieliśmy iść, była właściwa i prowadziła nas do domu. Gdzie jest teraz nasz dom? Zrobiłeś bowiem to, co musiałeś zrobić, a nie było to właściwe. Zabiłeś ludzi. Widziałem ich pięć lat temu w Dolinie Lemgan, dokąd przybyli w latającym statku; ukryłem się i obserwowałem olbrzymów, sześciu ich było, i widziałem, jak mówią i patrzą na skały i rośliny, i gotują jedzenie. To ludzie. Ale ty mieszkałeś wśród nich, powiedz mi, Selverze, czy oni śnią?

— Tak jak dzieci, kiedy śpią.

— Nie mają żadnego przygotowania?

— Nie. Czasami opowiadają o swoich snach, uzdrowiciele próbują wykorzystywać je do uzdrawiania, ale żaden z nich nie jest przeszkolony ani nie ma żadnej umiejętności śnienia. Ljubow, który mnie uczył, rozumiał mnie, kiedy pokazałem mu, jak śnić, ale nawet wtedy czas świata nazywał „rzeczywistym", a czas snu „nierzeczywistym", jakby to właśnie było różnicą między nimi.

— Zrobiłeś to, co musiałeś — powtórzył Córo Mena po chwili ciszy. Poprzez cienie jego oczy napotkały wzrok Selvera. Rozpaczliwe napięcie na twarzy Selvera zelżało; rozluźniły się jego pokryte bliznami usta. Położył się, nie mówiąc nic więcej. Po chwili spał.

— On jest bogiem — rzekł Córo Mena.

Torber skinął głową, przyjmując osąd starca prawie z ulgą.

— Ale nie jak inni. Nie jak Prześladowca ani jak Przyjaciel, co nie ma twarzy, ani jak Osikolistna Kobieta, która wędruje po lasach snów. On nie jest Odźwiernym ani Wężem. Ani Lirnikiem, ani Rzeźbiarzem, ani Myśliwym, choć przychodzi w czasie świata jak oni. Może śniliśmy o Selverze przez te kilka ostatnich lat, ale już nie będziemy o nim śnić; opuścił czas snu. W lesie, przez las przychodzi, gdzie opadają liście, gdzie padają drzewa, bóg, który zna śmierć, bóg, który zabija i sam nie rodzi się powtórnie.

Przywódczyni wysłuchała sprawozdań i przepowiedni Córo Meny i podjęła działania. Postawiła miasto Cadast w stan pogotowia, upewniając się, że każda rodzina jest przygotowana do wymarszu, mając przygotowaną niewielką ilość żywności i nosze dla starców i chorych. Wysłała młode kobiety na zwiady ku południowi i wschodowi w poszukiwaniu informacji o jumenach. Jedną uzbrojoną grupę myśliwską trzymała stale w okolicach miasta, choć inne wychodziły jak zwykle co noc. A kiedy Selver nabrał sił, nalegała, aby wyszedł z Szałasu i opowiedział, jak jumeni zabijali i zniewalali ludzi w Sornolu i jak wycinali drzewa; jak ludzie z Kelme Deva zabili jumenów. Zmuszała kobiety i mężczyzn, którzy nie śnili i nie

rozumieli tych rzeczy, aby słuchali ponownie, póki nie zrozumieli i nie przestraszyli się. Ebor Dendep była bowiem kobietą praktyczną. Kiedy Wielki Śniący, jej brat, powiedział, że Selver jest bogiem, tym, który zmienia, pomostem między rzeczywistościami, uwierzyła mu i zaczęła działać. To obowiązkiem Śniącego była ostrożność, pewność, że jego ocena jest prawdziwa. Jej obowiązkiem było następnie przyjąć tę ocenę i działać zgodnie z nią. On wiedział, co należy zrobić; ona pilnowała wykonania.

— Wszystkie miasta lasu muszą usłyszeć — powiedział Córo Mena. Więc przywódczyni wysłała swoich młodych biegaczy i kobiety stojące na czele innych miast słuchały, po czym wysyłały swoich biegaczy.

Historia rozlewu krwi w Kelme Deva oraz imię Selvera obiegły Wyspę Północną i dotarły do innych Lądów, przekazywane z ust do ust lub na piśmie; niezbyt szybko; bo Leśny Lud nie miał szybszych posłańców niż biegacze, jednak wystarczająco szybko.

Nie stanowili jednego ludu na Czterdziestu Lądach świata. Istniało więcej języków niż Lądów, a w każdym mieście posługiwano się innym dialektem; istniały nieskończone odmiany obyczajów, moralności, zwyczajów, rzemiosł; każdy z pięciu Wielkich Lądów zamieszkiwał inny typ fizyczny. Ludzie z Sornolu byli wysocy, bladzi — byli doskonałymi kupcami; mieszkańcy z Rieshwelu byli niscy, wielu z nich miało czarne futro, a jedli oni małpy; i tak dalej, i tak dalej. Lecz klimat różnił się niewiele i las niewiele, a morze wcale. Ciekawość, stałe szlaki handlowe i konieczność znalezienia męża lub żony od właściwego Drzewa podtrzymywały swobodny ruch ludzi między miastami i Lądami, toteż były między nimi pewne podobieństwa, z wyjątkiem mieszkańców najbardziej oddalonych siedzib, znanych ledwie z pogłosek krążących na wyspach Dalekiego Wschodu i Południa. Na wszystkich Czterdziestu Lądach kobiety rządziły miastami i miasteczkami, a każde prawie miasteczko miało Szałas Mężczyzn. W Szałasach Śniący mówili starym językiem, który niewiele różnił się między Lądami. Rzadko uczyły się go kobiety lub mężczyźni, którzy zostawali myśliwymi, rybakami, tkaczami, budowniczymi, którzy śnili tylko małe sny poza Szałasem. Ponieważ w piśmie posługiwano się w większości tą mową Szałasów, kiedy kobiety wysyłały chyże dziewczęta z wiadomościami, listy przekazywano od Szałasu do Szałasu i Śniący wykładali je Starym Kobietom, tak jak inne dokumenty i pogłoski, problemy, mity i sny. Jednak zawsze wybór, czy wierzyć im, czy nie, należał do Starych Kobiet.

Selver znajdował się w małym pokoju w Eshsenie. Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale wiedział, że jeśli je otworzy, to wejdzie coś złego. Póki są zamknięte, wszystko będzie w porządku. Kłopot polegał na tym, że przed domem rosły drzewka, młody Sad; nie drzewa

owocowe lub orzechy, ale jakiś inny gatunek, nie pamiętał jaki. Wyszedł zobaczyć, co to za gatunek. Wszystkie leżały połamane i wyrwane z korzeniami. Podniósł srebrzystą gałązkę i ze złamanego końca wypłynęło trochę krwi. Nie, nie tutaj, nie znowu, Thele, powiedział: O Thele, przyjdź do mnie, zanim umrzesz! Ale nie przyszła. Była tam tylko jej śmierć, złamana brzoza, otwarte drzwi. Selver odwrócił się i szybko wszedł z powrotem do domu, odkrywając, że cały był zbudowany ponad ziemią jak dom jumenów, bardzo wysoki i pełen światła. Na zewnątrz drugich drzwi, po przeciwnej stronie pokoju, leżała długa ulica Centralu, miasta jumenów. Selver miał u pasa pistolet. Jeśli nadszedłby Davidson, mógł go zastrzelić. Czekał stojąc w otwartych drzwiach, patrząc w blask słońca. Ogromny Davidson nadbiegł tak szybko, że Selver nie mógł utrzymać go w celowniku pistoletu, kiedy tamten zgięty we dwoje rzucał się przez ulicę, bardzo szybko, za każdym razem coraz bliżej. Pistolet był ciężki. Selver strzelił, ale z lufy nie wytrysnął ogień, i we wściekłości i przerażeniu odrzucił od siebie pistolet i sen.

Czując wstręt i przygnębienie splunął i westchnął.

— Zły sen? — zapytała Ebor Dendep.

— Wszystkie są złe i wszystkie jednakowe — odparł, ale jego głęboki niepokój i poczucie klęski nieco się zmniejszyło. Chłodne poranne światło słońca padało plamami i strzałami, przesiane przez delikatne liście i gałązki brzozowego zagajnika Cadast. Siedziała tam przywódczyni wyplatając koszyk z paproci czarnołodygowej, ponieważ lubiła mieć palce czymś zajęte, podczas gdy Selver leżał obok niej w półśnie i śnie. Był już w Cadaście piętnaście dni i jego rana szybko się goiła. Nadal dużo spał, ale pierwszy raz od wielu miesięcy zaczął śnić na jawie regularnie, nie raz czy dwa w ciągu dnia i nocy, lecz w prawdziwym rytmie śnienia, który powinien wznosić się i opadać dziesięć do czternastu razy w cyklu dziennym. Choć jego sny były złe, pełne przerażenia i wstydu, witał je z radością. Bał się, że został odcięty od swych korzeni, że zaszedł za daleko w martwą krainę działania, aby kiedykolwiek odnaleźć drogę powrotną do źródeł rzeczywistości. Teraz, choć woda była bardzo gorzka, pił znowu.

W krótkim śnie znowu powalił Davidsona w popioły spalonego obozu i zamiast śpiewać nad nim, tym razem uderzył go kamieniem w usta. Pomiędzy białymi odłamkami wybitych zębów popłynęła krew.

Sen ów był pożyteczny jako zwykłe spełnienie marzeń, ale zatrzymywał go w takim miejscu, prześniwszy go wiele razy, zanim spotykał Davidsona wśród popiołów Kelme Deva i później. W tym śnie nie było nic prócz ulgi. Kojący łyk wody. A potrzebował goryczy. Musi udać się wstecz, nie do Kelme Deva, lecz na długą straszną ulicę w obcym mieście zwanym Centralem, gdzie zaatakował śmierć i został pokonany.

Ebor Dendep nuciła pracując. Jej szczupłe ręce, których jedwabisty zielony puch posrebrzył wiek, zaplatały czarne łodygi paproci do środka i na zewnątrz, szybko i starannie. Śpiewała dziewczęcą piosenkę o zbieraniu paproci: zbieram paproć, myślę, czy on wróci… Jej słaby starczy głos brzmiał jak cykanie świerszcza. Słońce drżało w brzozowych liściach. Selver opuścił głowę i oparł ją na rękach.

Brzozowy zagajnik znajdował się mniej więcej pośrodku Cadastu. Prowadziło od niego osiem wąskich ścieżek wijących się wśród drzew. W powietrzu wisiało pasmo dymu; tam, gdzie na południowym skraju zagajnika gałęzie były rzadkie, można było zobaczyć unoszący się z komina dym jak nitka rozwijająca się z niebieskiego kłębka wśród liści. Jeżeli spojrzało się uważnie między żywodęby i inne drzewa, można było dojrzeć dachy domostw wystające parę stóp nad ziemię. Było ich od stu do dwustu, z trudnością dawało się je policzyć. Domy z drewna wkopano w ziemię w trzech czwartych i wpasowano między korzenie drzew jak borsucze nory. Dach z krokwi pokrywały strzechy z małych gałązek, igieł sosnowych, sitowia, próchnicy. Świetnie izolowały, chroniły przed wodą, były prawie niewidoczne. Las i społeczność ośmiuset ludzi zajmowały się swoimi sprawami wokół brzozowego zagajnika, gdzie siedziała Ebor Dendep wyplatając koszyk z paproci. Jakiś ptak wśród gałęzi nad jej głową powiedział słodko: ti-wit. Ludzie robili więcej hałasu niż zwykle, bo w ciągu tych ostatnich paru dni napłynęło pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu obcych, w większości młodych mężczyzn i kobiet, przyciągniętych obecnością Selvera. Niektórzy pochodzili z innych miast Północy, niektórzy razem z nim zabijali w Kelme Deva; szli za pogłoskami idącymi za nim. Jednak głosy nawołujące tu i ówdzie, szmer kąpiących się kobiet i pluskanie dzieci bawiących się nad strumieniem nie były głośniejsze od porannej pieśni ptaków i brzęczenia owadów, i wszystkich odgłosów żyjącego lasu, którego miasto było jednym 7 elementów.

Do Ebor Dendep podeszła szybko dziewczyna, młoda łowczyni koloru bladych liści brzozy.

— Ustna wiadomość z południowego wybrzeża, matko — rzekła. — Biegaczka jest w Szałasie Kobiet.

— Przyślij ją tutaj, gdy zje — powiedziała cicho przywódczyni. — Sza, Tolbar, nie widzisz, że on śpi?

Dziewczyna pochyliła się, aby podnieść duży liść dzikiego tytoniu, i położyła go delikatnie na oczach Selvera, na które z ukosa padał promień słońca. Selver leżał z lekko rozpostartymi rękami i pokrytą bliznami, zniekształconą twarzą odwróconą do góry, wyglądając bezbronnie i głupio — Wielki Śniący, śpiący jak dziecko. Lecz Ebor Dendep obserwowała twarz dziewczyny. W tym niespokojnym cieniu emanowała z niej litość i przerażenie, emanowało z niej uwielbienie.

Tolbar pobiegła z powrotem. Wkrótce nadeszły z posłanniczką dwie Stare Kobiety, idąc cicho gęsiego po ścieżce pokrytej plamami słońca. Ebor Dendep uniosła rękę nakazując milczenie. Posłanniczka natychmiast położyła się i odpoczywała; jej brązowo nakrapiane zielone futro było pokryte kurzem i potem; biegła długo i szybko. Stare Kobiety usiadły w plamach słońca i znieruchomiały. Siedziały tam jak dwa stare zielonoszare głazy o jasnych, bystrych oczach.

Selver, walcząc ze snem, który wymknął mu się spod kontroli, krzyknął jakby z wielkiego strachu i się obudził.

Poszedł napić się ze strumienia; kiedy wrócił, szło za nim sześciu czy siedmiu z tych, którzy zawsze za nim szli. Przywódczyni odłożyła swą na wpół ukończoną robotę i rzekła:

— Witaj teraz, biegaczko, i mów.

Biegaczka powstała, skłoniła głowę przed Ebor Dendep i przekazała wiadomość.

— Przybywam z Trethatu. Moje słowa pochodzą z Sorbron Deva, przedtem od żeglarzy z Cieśnin, przedtem z Broteru w Sornolu. Są przeznaczone dla całego Cadastu, lecz mają być przekazane człowiekowi zwanemu Selverem, który urodził się z Jesionu w Eshreth. Oto słowa: są nowe olbrzymy w wielkim mieście olbrzymów w Sornolu, a wiele z tych nowych to samice. Żółty statek z ognia wznosi się i opada w miejscu, które nazywało się Peha. W Sornolu wiedzą, że Selver z Eshreth spalił miasto olbrzymów w Kelme Deva. Wielcy Śniący Wygnańców w Broterze śnili o olbrzymach liczniejszych niż drzewa na Czterdziestu Lądach. Oto wszystkie słowa wiadomości, którą przynoszę.

Kiedy skończyła się śpiewna recytacja, wszyscy milczeli. Trochę dalej jakiś ptak powiedział na próbę: wit-wit?

— To bardzo zły czas świata — powiedziała jedna ze Starych Kobiet, pocierając zreumatyzowane kolano.

Z wielkiego dębu, który zaznaczał północny skraj miasta, poderwał się szary ptak i uniósł się, na leniwych skrzydłach zataczając kręgi i wykorzystując poranne prądy wstępujące. W pobliżu każdego miasta zawsze było drzewo, na którym przesiadywały te szare latawce; stanowiły służbę oczyszczania.

Przez brzozowy zagajnik przebiegł mały, gruby chłopiec, którego goniła nieco większa siostra; oboje piszczeli cienko jak nietoperze. Chłopiec przewrócił się i zaczął płakać, dziewczynka podniosła go i wytarła mu łzy dużym liściem. Pobiegli w las trzymając się za ręce.

— Był tam olbrzym, który nazywał się Ljubow — powiedział Selver do przywódczyni. — Mówiłem o nim Córo Menie, ale nie tobie. Kiedy tamten mnie zabijał, Ljubow mnie uratował. To Ljubow wyleczył mnie i uwolnił. Chciał nas poznać; więc mówiłem mu, o co prosił, a on też mówił mi, o co ja prosiłem. Kiedyś zapytałem go, jak

jego rasa mogła przeżyć, mając tak mało kobiet. Powiedział, że w miejscu, skąd pochodzą, połowa ich rasy to kobiety; ale mężczyźni nie przywiozą kobiet do Czterdziestu Lądów, zanim ich dla nich nie przygotują.

— Zanim mężczyźni nie przygotują miejsca dla kobiet? No! Mogą sobie poczekać — rzekła Ebor Dendep. — Są jak ludzie z nie-Wiązu, którzy idą ku tobie siedzeniem — a głowy mają tyłem do przodu. Robią z lasu suchą plażę — jej język nie miał słowa na oznaczenie pustyni — i nazywają to przygotowaniem miejsca dla kobiet? Powinni kobiety wysłać najpierw. Może z nimi kobiety śnią Wielkie Sny, kto wie? Oni są opóźnieni w rozwoju, Selver. Oni są szaleni.

— Ludzie nie mogą być szaleni.

— Ale powiedziałeś, że oni śnią tylko śpiąc; jeżeli chcą śnić na jawie, zażywają trucizn, żeby sny wymykały się im spod kontroli, mówiłeś! Jak lud może być jeszcze bardziej szalony? Nie odróżniają czasu snu od czasu świata lepiej niż niemowlę. Może kiedy zabijają drzewo, myślą, że znowu ożyje!

Selver potrząsnął głową. W dalszym ciągu mówił do przywódczyni, jakby on i ona byli sami w brzozowym zagajniku, cichym, niepewnym głosem, prawie sennie.

— Nie, oni rozumieją śmierć bardzo dobrze… Z pewnością nie widzą tak jak my, ale pewne rzeczy rozumieją lepiej niż my. Ja nie potrafiłem zrozumieć wielu rzeczy z tego, co on mi mówił. To nie język przeszkadzał mi w rozumieniu; zapisaliśmy oba języki razem. A jednak mówił takie rzeczy, których nigdy nie mogłem pojąć.

Powiedział, że jumeni są spoza lasu. To całkiem jasne. Powiedział, że chcą lasu: drzewa na drewno, ziemi do zasadzenia trawy. Głos Selvera choć nadal cichy, nabrał dźwięczności; ludzie wśród srebrnych drzew słuchali. — To też jest jasne, dla tych z nas, którzy widzieli, jak oni wycinają świat. Powiedział, że jumeni są ludźmi jak my, że w rzeczywistości jesteśmy spokrewnieni, może tak blisko jak Czerwony Jeleń z Szarym Kozłem. Powiedział, że pochodzą z innego miejsca, które nie jest lasem; wycięli tam wszystkie drzewa, jest tam słońce, nie nasze słońce, które jest gwiazdą. Wszystko to, jak widzicie, nie było dla mnie jasne. Przytaczam jego słowa, ale nie wiem, co one znaczą. Nie szkodzi. Jest jasne, że chcą naszego lasu dla siebie. Są dwukrotnie naszego wzrostu, mają broń o wiele dalszym zasięgu od naszej i miotacze ognia, i latające statki. Teraz przywieźli więcej kobiet i będą mieli wiele dzieci. Jest ich tu teraz może dwa tysiące, może trzy, głównie w Sornolu. Ale jeśli odczekamy jedno życie lub dwa, rozmnożą się; ich liczba podwoi się i podwoi powtórnie. Zabijają mężczyzn i kobiety; nie oszczędzają tych, którzy proszą o życie. Nie potrafią śpiewać w zawodach. Może zostawili swoje korzenie za sobą, w tym innym lesie, z którego przyszli, w tym lesie bez drzew. Więc

zażywają trucizny, aby rozpętać w sobie sny, ale tylko upijają się od tego lub chorują. Nikt nie może z pewnością powiedzieć, czy są ludźmi czy nie, ale to nie ma znaczenia. Trzeba ich zmusić do opuszczenia lasu, bo są niebezpieczni. Jeśli nie zechcą odejść, będą musieli być wypaleni z Lądów, tak jak gniazda żądlących mrówek muszą być wypalane z zagajników miast. O ile będziemy czekać, to my zostaniemy wykurzeni dymem i spaleni. Oni mogą nas rozdeptać, jak my rozdeptujemy żądlące mrówki. Kiedyś widziałem kobietę, to było wtedy, gdy palili moje miasto Eshreth, leżała na ścieżce przed jumenem, prosząc go o życie, a on stanął jej na plecach i złamał kręgosłup, a potem odrzucił kopniakiem na bok, jak gdyby była martwym wężem. Widziałem to. Jeżeli jumeni są ludźmi, to są ludźmi nie przystosowanymi lub nie nauczonymi śnić i zachowywać się jak ludzie. Dlatego też miotają się w męce, zabijając i niszcząc, poganiani przez swych wewnętrznych bogów, których nie chcą uwolnić, ale próbują wyrwać i odrzucić. Jeśli są ludźmi, to są złymi ludźmi, co odrzucili własnych bogów, co boją się ujrzeć własne twarze w ciemności. Przywódczyni Cadastu, wysłuchaj mnie. Selver wstał, wysoki i zdecydowany wśród siedzących kobiet. — Myślę, że już czas, abym wrócił do mojej własnej ziemi, do Sornolu, do tych, którzy są wygnani, i do tych, co są zniewoleni. Powiedz wszystkim ludziom, którzy śnią o płonącym mieście, aby poszli za mną do Broteru.

Skłonił się Ebor Dendep i opuścił brzozowy zagajnik, ciągle jeszcze kulejąc, z zabandażowaną ręką; jednak kroczył szybko i głowę tak trzymał, że wydawał się bardziej cały niż inni ludzie. Młodzi poszli cicho za nim.

— Kto to jest? — zapytała biegaczka z Trethatu odprowadzając go wzrokiem.

— Człowiek, do którego dotarła twoja wiadomość, Selver z Eshreth, bóg wśród nas. Czy widziałaś kiedyś przedtem boga, córko?

— Kiedy miałam dziesięć lat, do naszego miasta przyszedł Lirnik.

— Stary Ertel, tak. Pochodził od mojego Drzewa i był z Północnych Dolin jak ja. No, teraz widziałaś drugiego boga, i to większego. Opowiedz o nim swojemu ludowi w Trethacie.

— Którym bogiem on jest, matko?

— Nowym — odparła Ebor Dendep suchym, starczym głosem. — Syn leśnego ognia, brat zamordowanych. On jest tym, który nie rodzi się ponownie. Idźcie teraz, wszyscy, idźcie do Szałasu. Zobaczcie, kto idzie z Selverem, zajmijcie się żywnością dla nich. Zostawcie mnie na chwile. Jestem pełna złych przeczuć jak jakiś głupi starzec, muszę śnić…

Córo Mena poszedł tej nocy z Selverem aż do miejsca, gdzie spotkali się po raz pierwszy pod wierzbami miedzianymi obok strumienia. Wielu ludzi szło za Selverem na południe, w sumie jakieś

sześćdziesiąt osób, oddział tak duży, jakiego większość ludzi do tej pory nie widziała. Spowodują wielkie poruszenie i w ten sposób przyciągną do siebie innych po drodze do przeprawy morskiej na Sornol. Selver zażądał dla siebie przywileju Śniącego polegającego na samotności tej jednej nocy. Wyruszył sam. Jego zwolennicy dogonią go rano; odtąd, wciągnięty w tłum i działanie, mało będzie miał czasu na powolny i głęboki przepływ wielkich snów.

— Tutaj się spotkaliśmy — powiedział starzec zatrzymując się wśród nachylonych gałęzi, welonów zwieszających się liści — i tutaj się rozstajemy. Miejsce to będzie niewątpliwie nazywane Zagajnikiem Selvera przez ludzi, którzy pójdą potem naszymi ścieżkami.

Przez chwilę Selver nic nie mówił, stojąc nieruchomo jak drzewo, a niespokojne liście wokół niego ciemniały od srebra, gdy chmury gęstniały nad gwiazdami.

— Jesteś pewniejszy co do mnie niż ja sam — odezwał się w końcu głos w ciemności.

— Tak, jestem pewien, Selverze… Dobrze nauczono mnie śnić, a poza tym jestem stary Dla siebie samego śnię już bardzo mało. Po cóż miałbym to robić? Maio rzeczy jest nowych dla mnie. A czego chciałem od życia, otrzymałem, i to z nawiązką. Miałem całe moje życie. Dnie jak liście lasu. Jestem starym, wydrążonym drzewem, tylko korzenie żyją. Tak więc śnię tylko o tym, o czym śnią wszyscy ludzie. Nie mam żadnych wizji ani pragnień. Widzę to, co jest. Widzę, jak owoc dojrzewa na gałęzi. Dojrzewa od czterech lat, ten owoc głęboko zasadzonego drzewa. Wszyscy baliśmy się przez cztery lata, nawet my, którzy żyjemy z dala od miast jumenów i widzieliśmy ich tylko przelotnie z ukrycia albo widzieliśmy ich przelatujące statki, albo patrzyliśmy na martwe miejsca, gdzie wycięli świat, albo słyszeliśmy jedynie opowieści o tych sprawach. Wszyscy się boimy. Dzieci budzą się krzycząc o olbrzymach; kobiety nie chcą chodzić na długie wyprawy kupieckie; mężczyźni w Szałasach nie potrafią śpiewać. Owoc strachu dojrzewa. I widzę, jak go zrywasz. Ty jesteś żniwiarzem. Widziałeś, poznałeś wszystko to, co obawiamy się poznać: wygnanie, wstyd, ból, zwalony dach i ściany świata, matkę umarłą w nieszczęściu, dzieci bez nauki, bez opieki i miłości… To nowy czas dla świata: zły czas. A ty to wszystko wycierpiałeś. Ty poszedłeś najdalej. A tam, przy końcu czarnej ścieżki, rośnie Drzewo; tam dojrzewa owoc; sięgasz po niego, Selverze, i zrywasz go. A świat zmienia się całkowicie, kiedy człowiek trzyma w ręku owoc tego drzewa, którego korzenie sięgają głębiej niż las. Ludzie dowiedzą się o tym. Poznają cię tak jak my. Nie potrzeba starca ani Wielkiego Śniącego, aby rozpoznać boga! Gdzie idziesz, tam płonie ogień; tylko ślepi go nie widzą. Ale słuchaj, Selverze: widzę to, czego inni może nie widzą, i dlatego cię pokochałem: śniłem o tobie, zanim spotkaliśmy się tutaj. Szedłeś

ścieżką, a za tobą wyrastały młode drzewa, dąb i brzoza, wierzba i ostrokrzew, jodła i sosna, olcha, wiąz, białokwietny jesion, cały dach i ściany świata, na zawsze odbudowane. Teraz żegnaj, drogi boże i synu, idź bezpiecznie.

Kiedy Selver poszedł, noc ściemniała tak, że nawet jego widzące nocą oczy nie dostrzegały niczego oprócz mas i płaszczyzn czerni. Zaczęło padać. Odszedł zaledwie kilka mil od Cadastu, kiedy musiał albo zapalić pochodnię, albo się zatrzymać. Wolał się zatrzymać i rękami wyszukał sobie miejsce wśród korzeni wielkiego kasztanowca. Tam usiadł, plecami opierając się o szeroki, powykręcany pień, który zdawał się jeszcze mieć w sobie trochę ciepła słonecznego. Delikatny deszcz, padając niewidzialnie w ciemności, szemrał w liściach nad głową, padał mu na ramiona, szyję i głowę chronioną gęstym jedwabistym futrem, na ziemię, paprocie i pobliskie poszycie, na wszystkie liście lasu, blisko i daleko. Selver siedział cicho jak szara sowa na gałęzi nad nim, nie śpiąc, z oczyma szeroko otwartymi w deszczowej ciemności.

3.

Kapitana Raja Ljubowa chwycił ból głowy. Zaczął się łagodnie w mięśniach prawego ramienia, a potem rósł do crescendo w postaci miażdżącego bębnienia nad prawym uchem. Pomyślał, że ośrodki mowy znajdują się w lewej półkuli mózgu, ale nie mógł tego wypowiedzieć; nie mógł mówić, czytać, spać, myśleć. Półkuli, krasuli. Atak migreny, ptak margaryny, auu, auu. Oczywiście, że wyleczono go z migreny raz w college'u, a potem w czasie obowiązkowych Wojskowych Profilaktycznych Seansów Psychoterapeutycznych, ale kiedy opuszczał Ziemię, wziął ze sobą trochę tabletek ergotaminy, tak na wszelki wypadek. Zażył dwie, a także superhiperekstra środek przeciwbólowy, środek uspokajający i tabletkę ułatwiającą trawienie, aby zneutralizować działanie kofeiny, która zneutralizowała ergotaminę, ale szydło ciągle dźgało od środka, tuż nad prawym uchem, w rytm wielkiego mosiężnego bębna. Szydło, zbrzydło, mydło, skrzydło, o Boże. Wybaw nas, Boże. Wór na zboże. Jak Athsheanie poradziliby sobie z migreną? Nie mieliby jej, napięcia odeśniliby na jawie tydzień przed ich wystąpieniem. Spróbuj, spróbuj śnić na jawie. Zacznij tak, jak uczył cię Selver. Choć nie mając pojęcia o elektryczności, nie mógł tak naprawdę pojąć zasady EEG, to kiedy tylko usłyszał o falach alfa i o tym, kiedy się pojawiają, powiedział: „A, masz na myśli to" i na zapisie tego, co działo się w jego małej zielonej głowie pojawiły się charakterystyczne zawirowania alfa; w ciągu jednej półgodzinnej lekcji nauczył też Ljubowa wywoływać i przerywać rytmy alfa. Tak naprawdę to nic trudnego. Ale nie teraz, świat jest zbyt blisko nas, auu, auu, auu, nad prawym uchem ciągle słyszę nadjeżdżający pędem uskrzydlony rydwan Czasu, ponieważ Athsheanie przedwczoraj spalili Obóz Smitha i zabili dwustu ludzi. Dokładnie dwustu siedmiu. Każdego żywego człowieka oprócz kapitana. Nic dziwnego, że tabletki nie mogły dotrzeć do ośrodka jego migreny, bo znajdował się na wyspie odległej o trzysta kilometrów i dwa dni. Za wzgórzami i bardzo daleko. Popioły, popioły, wszystko się wali. A pośród popiołów cała jego wiedza na temat Form Życia o Wysokiej Inteligencji Świata 41. Proch, śmiecie, plątanina nieprawdziwych danych i fałszywych hipotez. Prawie pięć lat tutaj i on uwierzył, że Athsheanie nie są zdolni do zabijania ludzi jego lub własnego rodzaju. Pisał długie rozprawy wyjaśniające, jak i dlaczego nie mogą zabijać ludzi. Wszystko nieprawda. Kompletna nieprawda.

Co przegapił?

Nadszedł już prawie czas spotkania w Dowództwie. Ljubow wstał ostrożnie, aby nie odpadła mu prawa strona głowy; podszedł do biurka poruszając się jak człowiek pod wodą, nalał sobie małą porcję

wódki ogólnowojskowej i wypił ją. Wywróciło go to na zewnątrz i zekstrawertyzowało: przywróciło do równowagi. Poczuł się lepiej. Wyszedł i nie mogąc znieść wstrząsów swego motoroweru, ruszył długą, zakurzoną główną ulicą Centralu do Dowództwa. Mijając Luau pomyślał chciwie o jeszcze jednej wódce, ale w drzwi wchodził właśnie kapitan Davidson i Ljubow poszedł dalej.

Ludzie z Shackletona byli już w sali konferencyjnej. Komandor Jung, którego poznał wcześniej, przywiózł tym razem kilka nowych twarzy z orbity. Nie nosili mundurów Floty; po chwili Ljubow z lekkim szokiem rozpoznał w nich pozaziemskich humanoidów. Od razu poprosił o prezentację. Jeden z nich, Or, był owłosionym Cetianinem, ciemnoszarym, krępym i ponurym; drugi, Lepennon, był wysoki, biały i urodziwy: Hain. Przywitali się ochoczo z Ljubowem, a Lepennon rzekł:

— Właśnie czytałem pański raport na temat świadomej kontroli paradoksalnych snów u Athshean, doktorze Ljubow — co było przyjemne, tak jak przyjemnie było usłyszeć własny, zasłużony tytuł doktora. Z rozmowy wynikało, że spędzili kilka lat na Ziemi i że mogli być badaczami pomocniczymi lub czymś w tym rodzaju; lecz przedstawiając ich, komandor nie wymienił ich statusu czy stanowiska.

Sala wypełniała się. Wszedł Gosse, ekolog kolonii, a także cała kadra oraz kapitan Susun, dyrektor Rozwoju Planety — kwestie wyrębu — którego stopień, jak i Ljubowa, był konieczny dla spokoju wojskowego umysłu. Kapitan Davidson wszedł samotnie, wyprostowany i przystojny. Jego pociągła twarz o nieregularnych rysach była spokojna i raczej surowa. Przy wszystkich drzwiach stali wartownicy. Szyje wojskowych były sztywne jak z żelaza. Jasne, że konferencja to właściwie śledztwo. Czyja wina? Moja wina, pomyślał Ljubow z rozpaczą; lecz z tej rozpaczy spojrzał przez stół na kapitana Davidsona ze wstrętem i pogardą.

Komandor Jung miał bardzo cichy głos.

— Jak panowie wiedzą, mój statek zatrzymał się tu przy Świecie 41, aby zostawić wam nowy ładunek kolonistów i nic więcej; celem Shackletona jest Świat 88, Prestno, należący do Grupy Hain. Jednak ponieważ ten atak na waszą placówkę miał miejsce podczas naszego tygodnia tutaj, nie może być po prostu zignorowany; szczególnie w świetle pewnych wydarzeń, o których zostalibyście poinformowani nieco później w normalnym trybie. Chodzi o to, że status Świata 41 jako ziemskiej kolonii podlega obecnie rewizji, a masakra w waszym obozie może przyspieszyć decyzję Administracji. Oczywiście decyzje, które my możemy podjąć, muszą być podjęte szybko, bo nie mogę tu długo trzymać statku. Po pierwsze chcemy być pewni, że istotne fakty są znane tu obecnym. Raport kapitana Davidsona z wydarzeń w

Obozie Smitha został nagrany i na statku wszyscy go słyszeliśmy; wy tutaj też? Świetnie. Jeśli ktoś chce zadać kapitanowi Davidsonowi jakieś pytanie, to proszę. Sam mam jedno. — Wrócił pan na miejsce obozu następnego dnia, kapitanie Davidson, w dużym skoczku z ośmioma żołnierzami; czy miał pan pozwolenie wyższego oficera tutaj w Centralu na ten lot? Davidson wstał.

— Miałem, sir.

— Czy został pan upoważniony do wylądowania i wzniecenia ognia w lesie koło obozu?

— Nie, sir.

— Jednak wzniecił pan ogień?

— Tak, sir. Próbowałem wykurzyć stworzątka, które zabiły moich ludzi.

— Świetnie. Panie Lepennon? Wysoki Hain chrząknął.

— Kapitanie Davidson — rzekł — czy uważa pan, że ludzie z Obozu Smitha podlegający pańskim rozkazom byli w większości zadowoleni?

— Tak uważam.

Davidson zachowywał się pewnie i zdecydowanie; wydawał się obojętny na fakt, że wpadł w kłopoty. Oczywiście ci oficerowie Floty i Obcy nie mają nad nim żadnej władzy; za stratę dwustu ludzi i samowolne podjęcie akcji odwetowej musi odpowiadać przed własnym pułkownikiem. Ale jego pułkownik jest właśnie tu i słucha.

— Czy byli więc dobrze karmieni, dobrze zakwaterowani, nie przepracowani na tyle, na ile da się to zrobić w nadgranicznym obozie?

— Tak.

— Czy utrzymywano ostrą dyscyplinę?

— Nie, nie była ostra.

— Co więc pana zdaniem było motywem buntu?

— Nie rozumiem?

— Jeżeli nikt z nich nie był niezadowolony, dlaczego niektórzy zmasakrowali resztę i zniszczyli obóz?

Zapadła niezręczna cisza.

— Chciałbym wtrącić słowo — odezwał się Ljubow. — To byli miejscowi pomagacze; Athsheanie zatrudnieni w obozie, którzy dołączyli się do ataku leśnych ludzi na Ziemian. W swym raporcie kapitan Davidson określił Athshean jako „stworzątka”.

Lepennon wyglądał na zakłopotanego i niespokojnego.

— Dziękuję, doktorze Ljubow. Zupełnie źle zrozumiałem. Wziąłem słowo „stworzątko” za nazwę ziemskiej kasty wykonującej prace raczej służebne w obozach drwali. Wierząc tak jak wszyscy, że Athsheanie są wewnątrzgatunkowo nieagresywni, nie pomyślałem, że chodzi o tę właśnie grupę. W gruncie rzeczy nie zdawałem sobie

sprawy, że współpracowali z wami w waszych obozach. — Jednakże tym bardziej trudno mi zrozumieć, co sprowokowało atak i bunt.

— Nie wiem, sir.

— Kiedy kapitan powiedział, że jego podkomendni są zadowoleni, czy miał na myśli także tubylców? — mruknął sucho Cetianin Or. Hain natychmiast podjął wątek i zapytał Davidsona swym zatroskanym, uprzejmym tonem:

— Czy sądzi pan, że Athsheanie mieszkający w obozie byli zadowoleni?

— O ile mi wiadomo.

— W ich pozycji lub w pracy, którą mieli do wykonania, nie było nic niezwykłego?

U pułkownika Dongha i wśród jego personelu, a także u komandora statku gwiezdnego Ljubow wyczuł wzrost napięcia, jeden obrót śruby. Davidson pozostał spokojny i swobodny.

— Nic niezwykłego.

Ljubow wiedział teraz, że na Shackletona zostały wysłane tylko jego studia naukowe; jego protesty, nawet jego roczne oceny „Przystosowania Tubylców do Obecności Kolonialnej" wymagane przez Administracje zostały zatrzymane w szufladzie jakiegoś biurka głęboko w Dowództwie. Ci dwaj humanoidzi nic nie wiedzieli o wyzysku Athshean. Komandor Jung oczywiście wiedział; był już tutaj przedtem i prawdopodobnie widział zagrody dla stworzą tek. W każdym razie komandor Floty na trasach kolonialnych nie miałby wiele do nauczenia się o stosunkach między Ziemianami a pomagaczami. Czy pochwalał sposoby działania Administracji Kolonialnej czy nie, mało co stanowiłoby dla niego szok. Lecz jak wiele wiedzieliby o ziemskich koloniach Cetianin i Hain, gdyby przypadek nie przywiódł ich do jednej z nich po drodze do innego miejsca? Lepennon i Or wcale nie zamierzali zejść tu na powierzchnię planety. Lub możliwe, że nie chciano, aby zeszli na planetę, ale oni, usłyszawszy o kłopotach, nalegali. Dlaczego komandor ich sprowadził: jego wola czy ich? Kimkolwiek byli, unosiła się wokół nich nieuchwytna atmosfera autorytetu, smużka wytrawnej, oszałamiającej woni władzy. Ból głowy Ljubowa zniknął, on sam był czujny i podekscytowany, twarz go paliła.

— Kapitanie Davidson — rzekł — mam parę pytań w sprawie pańskiej przedwczorajszej konfrontacji z czterema tubylcami. Jest pan pewny, że jednym z nich był Sam, czyli Selver Thele?

— Tak sądzę.

— Zdaje pan sobie sprawę, że żywi on do pana osobistą urazę?

— Nie wiem.

— Nie? Ponieważ jego żona zmarła w pańskiej kwaterze w następstwie odbycia z panem stosunku płciowego, Selver obarcza pana

odpowiedzialnością za jej śmierć; nie wiedział pan o tym? Już raz kiedyś pana zaatakował, tutaj w Centralu; zapomniał pan o tym? Chodzi o to, że osobista nienawiść Selvera do kapitana Davidsona może służyć po części jako wyjaśnienie lub motywacja tego bezprecedensowego ataku. Athsheanie nie są niezdolni do stosowania przemocy, nigdy tego nie twierdziłem w moich studiach na ich temat. Młodzieńcy, którzy jeszcze nie opanowali kontrolowanego śnienia lub śpiewania w zawodach, często mocują się i walczą na pięści, co nie zawsze kończy się bez szwanku. Lecz Selver to osobnik dorosły i adept, a jego pierwszy, osobisty atak na kapitana Davidsona, którego po części byłem świadkiem, był prawie na pewno próbą zabójstwa. Tak jak i reakcja kapitana, nawiasem mówiąc. Wtedy sądziłem, że ten atak jest odosobnionym wypadkiem psychotycznym, który raczej się nie powtórzy. Myliłem się. Kapitanie, kiedy ci czterej Athsheanie wypadli na pana z zasadzki, jak opisuje pan w swoim raporcie, czy został pan rozciągnięty na ziemi?

— Tak.

— W jakiej pozycji?

Spokojna twarz Davidsona napięła się i zesztywniała, a Ljubow poczuł wyrzuty sumienia. Chciał osaczyć Davidsona jego własnymi kłamstwami, zmusić go raz do powiedzenia prawdy, ale nie upokorzyć przed innymi. Oskarżenia o gwałt i morderstwo podtrzymywały wyobrażenie Davidsona o sobie jako o osobniku całkowicie męskim, lecz teraz były one zagrożone: Ljubow przywołał obraz jego, żołnierza, wojownika, chłodnego twardego mężczyzny, powalonego przez wrogów o wzroście sześciolatków… Ile więc kosztowało Davidsona przypomnienie sobie momentu, kiedy leżał patrząc na małych zielonych ludzi po raz pierwszy z dołu, a nie z góry?

— Leżałem na plecach.

— Czy pańska głowa była odrzucona w tył, czy odwrócona na bok?

— Nie wiem.

— Próbuję ustalić fakt, kapitanie, fakt, który mógłby dopomóc w wyjaśnieniu, dlaczego Selver nie zabił pana, choć żywił do pana nienawiść, a parę godzin wcześniej pomógł zabić dwustu ludzi. Zastanawiam się, czy przez przypadek mógł pan znajdować się w jednej z pozycji, które Athsheanie przyjmują, aby powstrzymać przeciwnika od dalszej agresji fizycznej.

— Nie wiem.

Ljubow spojrzał na siedzących wokół stołu konferencyjnego, wszystkie twarze zdradzały ciekawość, a niektóre napięcie.

— Te gesty i pozycje powstrzymujące agresję mogą mieć źródła wrodzone, mogą wynikać z zachowanej reakcji uruchamianej bodźcem, ale zostały społecznie rozwinięte i rozszerzone i oczywiście

wyuczone. Najmocniejszą i najpełniejszą z nich jest pozycja na plecach, z zamkniętymi oczyma i głową odwróconą tak, że gardło jest całkowicie odsłonięte. Sądzę, że Athsheanin pochodzący z miejscowych kultur nie mógłby zranić wroga, który przyjąłby taką pozycję. Musiałby zrobić coś innego, aby dać ujście gniewowi lub agresji. Kiedy oni wszyscy już pana powalili, panie kapitanie, czy Selver przypadkiem nie zaśpiewał?

— Czy co?

— Czy nie zaśpiewał.

— Nie wiem.

Zahamowanie. Koniec. Ljubow miał właśnie wzruszyć ramionami i poddać się, kiedy Cetianin zapytał:

— Dlaczego, panie Ljubow?

Najbardziej ujmującą cechą dość szorstkiego cetiańskiego charakteru była ciekawość: Cetianie chętnie umierali, ciekawi, co jest potem.

— Widzi pan — odparł Ljubow — Athsheanie stosują rodzaj zrytualizowanego śpiewu w zastępstwie walki fizycznej. I znowu jest to powszechne zjawisko społeczne, które mogłoby mieć podstawy fizjologiczne, choć bardzo trudno ustalić coś jako „wrodzone" ludziom. Jednakże wszyscy tutejsi przedstawiciele wyższych Naczelnych praktykują współzawodnictwo głosowe między osobnikami męskimi, co sprowadza się do wycia i gwizdania; osobnik dominujący może w końcu uderzyć drugiego, ale zwykle spędzają po prostu mniej więcej godzinę próbując przekrzyczeć się nawzajem. Sami Athsheanie widzą tu podobieństwo do swoich zawodów śpiewaczych, które także odbywają się tylko pomiędzy mężczyznami; lecz jak zaobserwowali, nie dają one jedynie ujścia agresji, ale są formą sztuki. Wygrywa lepszy artysta. Zastanawiałem się, czy Selver śpiewał nad kapitanem Davidsonem, a jeżeli tak, to czy dlatego, że nie mógł zabić, czy dlatego, że wolał bezkrwawe zwycięstwo. Te pytania stały się niespodziewanie dość istotne.

— Doktorze Ljubow — spytał Lepennon — jak skuteczne są te metody sterowania agresją? Czy są one powszechne?

— Pomiędzy dorosłymi tak. Tak twierdzą moi informatorzy i potwierdzały to moje wszystkie obserwacje aż do przedwczoraj. Gwałt, ostry atak i morderstwo właściwie u nich nie istnieją. Oczywiście zdarzają się wypadki. Są też umysłowo chorzy. Niewielu.

— Co oni robią z chorymi umysłowo, którzy są niebezpieczni?

— Izolują ich. Dosłownie. Na małych wyspach.

— Athsheanie są mięsożerni, polują na zwierzęta?

— Tak, mięso jest ich podstawowym pokarmem.

— Cudowne — powiedział Lepennon, a jego biała skóra zbladła jeszcze bardziej z czystego podniecenia. — Społeczeństwo ludzkie ze

skuteczną barierą przeciw wojnie! Jaki jest tego koszt, doktorze Ljubow?

— Nie jestem pewien, panie Lepennon. Może zmiana. Jest to statyczne, trwałe, jednolite społeczeństwo. Nie mają historii. Doskonale zintegrowani i całkowicie niepostępowi. Można by powiedzieć, że osiągnęli punkt kulminacyjny, jak ten las, w którym żyją. Lecz nie chcę sugerować, że są niezdolni do adaptacji.

— Panowie, jest to bardzo interesujące, lecz w nieco specjalistycznej sferze odniesienia i zapewne stoi nieco poza okolicznościami, które próbujemy tutaj wyjaśnić…

— Nie, przepraszam, pułkowniku Dongh, o to może właśnie chodzić. Tak, doktorze Ljubow?

— No cóż, zastanawiam się, czy właśnie teraz nie dowodzą swojej zdolności adaptacji. Przystosowując swoje zachowanie do nas. Do ziemskiej kolonii. Przez cztery lata zachowywali się względem nas tak, jak zachowują się względem siebie. Mimo różnic fizycznych uznali nas za przedstawicieli ich gatunku, za ludzi. Jednak my nie zareagowaliśmy, jak powinni zareagować przedstawiciele ich gatunku. Zignorowaliśmy reakcje, prawa i obowiązki niestosowania przemocy. Zabijaliśmy, gwałciliśmy, rozpędzaliśmy i czyniliśmy niewolników z tutejszych ludzi, niszczyliśmy ich osiedla i wycinaliśmy ich lasy. Nie byłoby zaskakujące, gdyby zdecydowali, że nie jesteśmy ludźmi.

— I można was zabijać jak zwierzęta, tak jak… — rzekł

Cetianin rozkoszując się logiką, lecz twarz Lepennona była nieruchoma jak biały kamień — …niewolników — dokończył.

— Kapitan Ljubow wyraża swe osobiste opinie i teorie — odezwał się pułkownik Dongh — które, chciałbym zaznaczyć, uważam za prawdopodobnie błędne, a omawialiśmy ten rodzaj problemów już przedtem, choć obecny kontekst jest niewłaściwy. Nie zatrudniamy niewolników. Niektórzy tubylcy spełniają pożyteczną rolę w naszej społeczności. Ochotniczy Autochtoniczny Personel Robotniczy stanowi element wszystkich tutejszych obozów, z wyjątkiem tymczasowych. Mamy tutaj bardzo ograniczony personel do wypełniania naszych celów i potrzebujemy robotników, toteż zatrudniamy wszystkich, jakich możemy zdobyć, ale nie na jakichkolwiek zasadach, które można by nazwać zasadami niewolnictwa, z pewnością nie.

Lepennon miał właśnie coś powiedzieć, ale ustąpił Cetianinowi, który zapytał tylko:

— Ilu z każdej rasy? Gosse odpowiedział:

— Teraz 2641 Ziemian. Ljubow i ja oceniamy populację miejscowych pomagaczy w dużym przybliżeniu na trzy miliony.

— Powinniście byli wziąć pod uwagę te liczby, panowie, zanim zmieniliście miejscowe tradycje! — rzekł Or z nieprzyjemnym, lecz absolutnie prawdziwym śmiechem.

— Jesteśmy odpowiednio uzbrojeni i wyposażeni, aby stawić opór każdemu rodzajowi agresji, jaki mogłaby przedsięwziąć ludność tubylcza — rzekł pułkownik. — Jednakowoż istniała powszechna zgodność opinii zarówno pierwszych misji badawczych, jak i naszego własnego personelu specjalnego, na którego czele stoi tutaj kapitan Ljubow, dająca nam do zrozumienia, że Nowotahitianie są prymitywnym, nieszkodliwym, pokojowym gatunkiem. Otóż ta informacja była błędna… Or przerwał pułkownikowi.

— Naturalnie! Czy pan uważa, że gatunek ludzki jest nieszkodliwy i pokojowy, panie pułkowniku? Nie. Ale wiedział pan, że pomagacze tej planety są ludźmi? Tak samo ludźmi jak pan, ja czy Lepennon — ponieważ wszyscy pochodzimy od tej samej oryginalnej rasy haińskiej?

— Zdaję sobie sprawę, że jest to teoria naukowa…

— Panie pułkowniku, to fakt historyczny.

— Nie jestem zmuszony przyjąć tego jako faktu — rzekł pułkownik z irytacją — i nie lubię, kiedy wpycha się w moje własne usta czyjeś sądy. Faktem jest to, że te stworzątka mają metr wzrostu, są pokryte zielonym futrem, nie śpią i nie są istotami ludzkimi w mojej skali odniesienia!

— Kapitanie Davidson — powiedział Cetianin — czy uważa pan miejscowych pomagaczy za ludzi, czy nie?

— Nie wiem.

— Ale odbył pan stosunek płciowy z jednym z nich — z żoną tego Selvera. Czy odbyłby pan stosunek płciowy z samicą jakiegoś zwierzęcia? A co z innymi spośród was? — Rozejrzał się po purpurowym pułkowniku, wściekłych majorach, zsiniałych kapitanach, kulących się specjalistach. Na jego twarzy pojawiła się pogarda. — Nie przemyśleliście tego — rzekł. Wedle jego norm była to brutalna obelga.

W końcu komandor Shackletona wydobył z otchłani skrępowanej ciszy następujące słowa:

— No cóż, panowie, tragedia w Obozie Smitha należy do całokształtu stosunków kolonii z tubylcami i w żadnym wypadku nie jest nieważnym czy odizolowanym epizodem. To właśnie mieliśmy ustalić. A ponieważ tak się stało, możemy w pewnym stopniu przyczynić się do złagodzenia waszych problemów. Głównym celem naszej podróży nie było zostawienie tutaj paru setek dziewcząt, choć wiem, że czekaliście na nie, ale dotarcie do Prestno, gdzie mają pewne kłopoty i przekazanie tamtejszemu rządowi ansibla. To znaczy przekaźnika natychmiastowej łączności.

— Co? — powiedział Sereng, inżynier. Spojrzenia znieruchomiały wokół całego stołu.

— Ten, który mamy na pokładzie, to wczesny model: kosztował z

grubsza roczny przychód planety. To było oczywiście dwadzieścia siedem planetarnych lat temu, kiedy opuszczaliśmy Ziemię. Teraz robią je stosunkowo tanio; stanowią one standardowe wyposażenie statków Floty i gdyby sprawy szły normalnym biegiem, robot lub statek załogowy przybyłby tutaj z przekaźnikiem dla kolonii. W gruncie rzeczy załogowy statek Administracji jest już w drodze i ma przybyć tu za 9,4 lat ziemskich, o ile dobrze pamiętam.

— Skąd pan to wie? — zapytał ktoś mając na myśli komandora Junga, który odparł z uśmiechem:

— Przez ansibla: tego, który mam na pokładzie. Panie Or, to urządzenie wynalazł pański naród, może zechce pan wyjaśnić jego działanie tym, którym ta nazwa jest obca?

Cetianin był nieugięty.

— Nie będę próbował wyjaśnić zasad działania ansibla tu obecnym — rzekł. — Efekt jego działania można ująć prosto: natychmiastowe przekazywanie informacji na każdą odległość. Jedno urządzenie musi znajdować się na obiekcie o dużej masie, drugie może być gdziekolwiek w kosmosie. Od czasu przybycia na orbitę Shackleton codziennie łączy się z Terra, odległą teraz o dwadzieścia siedem lat świetlnych. Przekazywanie informacji i odebranie odpowiedzi nie trwa pięćdziesięciu czterech lat jak przy użyciu urządzeń elektromagnetycznych. Nie trwa w ogóle. Nie istnieje już przepaść czasowa między światami.

— Jak tylko opuściliśmy strefę dylatacji czasu NAFAL-u i weszliśmy w czasoprzestrzeń planetarną tutaj, zadzwoniliśmy do domu, można powiedzieć — ciągnął spokojnie komandor. — Powiedziano nam, co wydarzyło się w ciągu tych dwudziestu siedmiu lat, kiedy lecieliśmy. Przepaść czasowa dla ciał pozostaje, ale nie opóźnienie informacji. Jak widzicie, dla nas jako gatunku międzygwiezdnego jest to tak ważne jak sama mowa we wcześniejszych stadiach naszej ewolucji. Będzie miało ten sam efekt: uczyni możliwym istnienie społeczeństwa.

— Pan Or i ja opuściliśmy Ziemię dwadzieścia siedem lat temu jako Legaci naszych rządów, Tau II i Haina — rzekł Lepennon. Jego głos nadal był łagodny i miły, ale pozbawiony już ciepła. — Kiedy wyruszaliśmy, ludzie mówili o możliwości utworzenia czegoś w rodzaju przymierza między cywilizowanymi światami, teraz łączność jest możliwa. Od osiemnastu lat istnieje Liga Światów. Pan Or i ja jesteśmy teraz Emisariuszami Rady Ligi, mamy więc pewną władzę oraz odpowiedzialność, czego nie mieliśmy, gdy opuszczaliśmy Ziemię.

Ci trzej ze statku ciągle powtarzali: istnieje urządzenie do utrzymywania natychmiastowej łączności, istnieje międzygwiezdny superrząd… Wierzcie lub nie. Byli w zmowie i kłamali. Ta myśl

przebiegła przez umysł Ljubowa; rozważył ją, zdecydował, że jest to rozsądne, lecz bezpodstawne podejrzenie, stanowiące mechanizm obronny, i odrzucił je. Jednak część personelu wojskowego wyszkolona w myśleniu szufladkowym — specjaliści w samoobronie — przyjęłaby ją równie ochoczo, jak Ljubow je odrzucił. Musieli uznać, że ktoś nagle przyznający się do nowej władzy jest kłamcą lub konspiratorem. Nie byli bardziej skrępowani niż Ljubow, którego wyszkolono w zachowaniu otwartego umysłu, czy tego chciał, czy nie.

— Czy mamy wierzyć w to… w to wszystko po prostu na pańskie słowo, sir? — rzekł pułkownik Dongh z godnością i nieco żałośnie; ponieważ będąc zbyt głupim, aby sprawnie szufladkować, wiedział, że nie powinien wierzyć Lepennonowi, Orowi i Jungowi, ale uwierzył im i to go przerażało.

— Nie — odrzekł Cetianin. — To już się skończyło. Taka kolonia musiała wierzyć w to, co przekazywały jej przelatujące statki i przestarzałe wiadomości radiowe. Wy już nie musicie. Możecie sprawdzić. Zamierzamy przekazać wam ansibla przeznaczonego dla Prestno. Mamy na to pełnomocnictwo Ligi. Otrzymane, oczywiście, przez ansibla. Z waszą kolonią tutaj źle się dzieje. Gorzej, niż myślałem z waszych raportów. Wasze raporty są bardzo niekompletne; działała tu cenzura lub głupota. Teraz jednak będziecie mieli ansibla i możecie rozmawiać z waszą Ziemską Administracją; możecie poprosić o rozkazy, żebyście wiedzieli, jak postępować. Znając głębokie zmiany, jakie zachodzą w organizacji Ziemskiego Rządu, od czasu kiedy stamtąd wyruszyliśmy, radziłbym zrobić to od razu. Nie istnieje już usprawiedliwienie dla postępowania według przestarzałych rozkazów, dla ignorancji, dla nieodpowiedzialnej autonomii.

Skwasić Cetianina, a tak jak mleko pozostanie już skwaśniały. Or wymądrzał się i komandor Jung powinien go zamknąć. Ale czy mógł? Jaką pozycję miał „Emisariusz Rady Ligi Światów”? Kto tu dowodzi, myślał Ljubow i także poczuł ukłucie strachu. Ból głowy powrócił jako poczucie ucisku, jak ciasna taśma opasująca skronie.

Spojrzał przez stół na białe ręce Lepennona o długich palcach, leżące spokojnie lewa na prawej na nagim wygładzonym drewnie stołu. Biała skóra była wadą według ziemskiego poczucia estetycznego Ljubowa, lecz spokój i siła tych rąk sprawiały mu dużą przyjemność. Pomyślał, że cywilizacja przychodziła Hainom naturalnie. Mieli ją tak długo. Prowadzili życie społeczno-intelektualne z gracją kota polującego w ogrodzie, z pewnością jaskółki lecącej nad morzem za słońcem. Byli ekspertami. Nigdy nie musieli przybierać póz, udawać. Byli tym, czym byli. Wydawało się, że nikt nie pasuje do ludzkiej skóry lepiej od nich. Z wyjątkiem może małych zielonych ludzi? Odmiennych, skarlałych, zbyt dobrze przystosowanych, zastałych stworzątek, które były tak całkowicie, tak uczciwie, tak nie-zmącenie

tym, czym były…

Jeden z oficerów, Benton, spytał Lepennona, czy on i Or znajdowali się na tej planecie jako obserwatorzy z ramienia (zawahał się) Ligi Światów, czy też rościli sobie jakąś władzę… Lepennon przerwał mu grzecznie:

— Jesteśmy tu obserwatorami i nie mamy żadnych uprawnień do rozkazywania, a jedynie do składania raportów. W dalszym ciągu odpowiadacie tylko przed własnym rządem na Ziemi.

— A więc zasadniczo nic się nie zmieniło… — rzekł z ulgą pułkownik Dongh.

— Zapomina pan o ansiblu — przerwał Or. — Gdy tylko skończy się ta dyskusja, nauczę pana obsługi, pułkowniku. Będzie pan wtedy mógł skonsultować się z pańską Administracją Kolonialną.

— Ponieważ wasz problem jest raczej sprawą pilną i ponieważ Ziemia jest obecnie członkiem Ligi i w ciągu ostatnich lat mogła trochę zmienić Kodeks Kolonialny, rada pana Ora jest zarówno słuszna, jak i na czasie. Jesteśmy bardzo wdzięczni panu Orowi i panu Lepennonowi za ich decyzję przekazania waszej ziemskiej kolonii ansibla przeznaczonego dla Prestno. Była to ich decyzja, ja mogę jej tylko przyklasnąć. Teraz trzeba podjąć jeszcze jedną decyzję i ja muszę to zrobić kierując się waszą oceną.

Jeśli uważacie, że kolonii zagraża niebezpieczeństwo dalszych i bardziej zmasowanych ataków ze strony tubylców, mogę zatrzymać tutaj mój statek przez tydzień czy dwa jako arsenał obronny; mogę także ewakuować kobiety. Nie ma jeszcze dzieci, prawda?

— Nie, sir — rzekł Gosse. — Obecnie czterysta osiemdziesiąt dwie kobiety.

— Dobrze, mam miejsce dla trzystu osiemdziesięciu pasażerów, moglibyśmy też wepchnąć jeszcze setkę; dodatkowa masa dodałaby rok czy coś koło tego do podróży powrotnej, ale dałoby się to zrobić. Niestety tylko tyle mogę uczynić. Musimy udać się do Prestno; wasz najbliższy sąsiad, jak wiecie, jest odległy o 1,8 roku świetlnego. Zatrzymamy się tu w drodze powrotnej na Terre, aie zajmie to jeszcze przynajmniej trzy i pół roku ziemskiego. Wytrzymacie?

— Tak — oświadczył pułkownik, a inni powtórzyli jak echo. — Otrzymaliśmy już ostrzeżenie i nikt nas nie złapie na drzemce.

— Z drugiej strony — rzekł Cetianin — czy rdzenna ludność wytrzyma jeszcze trzy i pół roku?

— Tak — odparł pułkownik.

— Nie — sprzeciwił się Ljubow. Obserwował twarz Davidsona i wpadł jakby w panikę.

— Panie pułkowniku? — spytał uprzejmie Lepennon.

— Jesteśmy tu już od czterech lat i tubylcy świetnie prosperują. Będzie tu dość miejsca dla nas wszystkich; jak widać, planeta jest

przeważnie niedoludniona i Administracja nie wydałaby pozwolenia na jej kolonizację, gdyby tak nie było. Jeżeli przyszłoby to znów komuś do głowy, już nas nie zaskoczą; udzielono nam błędnych informacji na temat natury tych tubylców, ale jesteśmy w pełni uzbrojeni i zdolni się obronić, lecz nie planujemy żadnych akcji odwetowych. Jest to wyraźnie zabronione w Kodeksie Kolonialnym, chociaż nie wiem, jakie przepisy mógł dodać ten nowy rząd, ale będziemy się trzymać jak zawsze swoich zasad, a one absolutnie wykluczają masowy odwet i ludobójstwo. Nie będziemy wysyłać żadnych próśb o pomoc, przecież kolonia odległa od domu o dwadzieścia siedem lat świetlnych powinna być samodzielna i w gruncie rzeczy całkowicie samowystarczalna, i nie sądzę, aby ów ansibl tak naprawdę to zmieniał, bo statki i ludzie, i materiały nadal muszą podróżować z szybkością pod-świetlną. Po prostu będziemy nadal wysyłać drewno do domu i uważać na siebie. Kobietom nie zagraża, żadne niebezpieczeństwo.

— Panie Ljubow? — spytał Lepennon.

— Jesteśmy tu od czterech lat. Nie wiem, czy tubylcza kultura ludzka przetrwa następne cztery. Co do ogólnej ekologii lądowej, sądzę, że Gosse mnie poprze, jeśli powiem, że nieodwracalnie zniszczyliśmy miejscowe systemy życia na jednej dużej wyspie, wyrządziliśmy wielkie szkody na tym subkontynencie Sornol, a jeśli będziemy dalej wycinać lasy w obecnym tempie, możemy sprowadzić główne zamieszkane lądy do poziomu pustyni w ciągu dziesięciu lat. Nie jest to wina Dowództwa Kolonii czy Biura Leśnictwa; oni po prostu stosowali Plan Rozwoju opracowany na Ziemi bez wystarczającej znajomości planety, która miała być eksploatowana, jej systemów życia czy jej rdzennych mieszkańców.

— Panie Gosse? — zabrzmiał grzeczny głos.

— Wiesz, Raj, trochę naciągasz problemy. Nie można zaprzeczyć, że Wyspa Śmietnikowa, na której nadmiernie wycięto las wbrew moim zaleceniom, jest zupełnie stracona. Jeśli wyrąb lasu na danym terenie przekroczy pewien procent, wtedy, widzicie, panowie, włókiennik nie wydaje nasion, a system korzeniowy włókiennika jest głównym czynnikiem wiążącym glebę na otwartych przestrzeniach; bez niego gleba zamienia się w pył i szybko eroduje pod wpływem wiatru i obfitych opadów deszczu. Ale nie mogę się zgodzić, że nasze podstawowe dyrektywy są błędne, tak długo, jak są skrupulatnie przestrzegane. Zostały one oparte na starannych badaniach planety. Tutaj w Centralu odnieśliśmy sukces realizując plan: erozja jest minimalna, a oczyszczona ziemia wysoce uprawna. Wycinanie drzew z lasu nie oznacza w końcu tworzenia pustyni — z wyjątkiem może punktu widzenia wiewiórki. Nie możemy dokładnie przewidzieć, jak miejscowe leśne systemy życiowe przystosują się do nowego leśno-

prerio-uprawnego otoczenia przewidzianego w Planie Rozwoju, ale wiemy, że istnieją niezłe szansę na przystosowanie się i przeżycie w dużym procencie.

— Tak właśnie mówiło Biuro Gospodarki Rolnej o Alasce podczas Pierwszego Głodu — powiedział Ljubow. Gardło miał tak ściśnięte, że głos wydobywający się z niego był wysoki i zachrypnięty. Liczył, że Gosse go poprze. — Ile świerków Sitka widziałeś w swoim życiu, Gosse? Albo sów śnieżnych? Wilków? Eskimosów? Procent przetrwania rodzimych alaskańskich gatunków w swoim środowisku, po piętnastu latach Programu Rozwoju, wynosił 0,3. Teraz równa się zeru. — Ekologia lasu jest delikatna. Jeśli zginie las, jego fauna może zginąć razem z nim. Athsheańskie słowo „świat" znaczy również „las". Stwierdzam, komandorze Jung, że choć kolonii może nie grozić niebezpieczeństwo, ta planeta jest…

— Kapitanie Ljubow — rzekł pułkownik Dongh — właściwą drogą wysuwania takich stwierdzeń nie jest przedkładanie ich przez specjalistyczny personel oficerski oficerom innych gałęzi służby, lecz powinny one zostać poddane pod osąd starszych oficerów kolonii, a ja nie mogę tolerować żadnych dalszych takich prób udzielania rad bez uprzedniego zezwolenia.

Zaskoczony swym własnym wybuchem Ljubow przeprosił i starał się wyglądać spokojnie. Gdyby tylko nie wpadł w złość, gdyby jego głos nie zabrzmiał słabo i ochryple, gdyby zachował równowagę…

Pułkownik mówił dalej:

— Wydaje się nam, że wyraził pan kilka poważnych błędnych sądów dotyczących pokojowego charakteru i nie-agresywności tych tutaj tubylców, a ponieważ polegaliśmy na tym specjalistycznym opisie ich jako istot nieagresywnych, dlatego spotkała nas ta straszna tragedia w Obozie Smitha, kapitanie Ljubow. Więc sądzę, że musimy poczekać, aż jacyś inni specjaliści od pomagaczy będą mieli wystarczająco dużo czasu na zbadanie ich, ponieważ pańskie teorie ewidentnie były błędne do pewnego stopnia.

Ljubow usiadł i zniósł to. Niech ci ludzie ze statku zobaczą, jak oni wszyscy przekazują winę dalej niczym rozpaloną cegłę: tym lepiej. Im więcej wykażą niezgody, tym bardziej będzie prawdopodobne, że ci Emisariusze każą ich sprawdzić i obserwować. A winien był on; pomylił się. Do diabła z szacunkiem dla samego siebie, jeśli tylko leśny lud będzie miał szansę, pomyślał Ljubow, i ogarnęło go tak silne uczucie własnego upokorzenia i złożonej ofiary, że łzy napłynęły mu do oczu.

Zdawał sobie sprawę, że Davidson go obserwuje. Siedział sztywno z twarzą gorącą od nabiegłej krwi i łomotem w skroniach. Ten drań Davidson nie będzie sobie z niego kpił. Czy Or i Lepennon nie widzą, jakiego rodzaju człowiekiem jest Davidson i ile ma tu władzy, podczas

gdy uprawnienia Ljubowa, nazywane „doradczymi", są po prostu śmieszne? Jeżeli zostawi się kolonistów tak jak są, z superradiem jako jedynym hamulcem, masakra w Obozie Smitha prawie na pewno stanie się usprawiedliwieniem dla systematycznej agresji przeciw tubylcom. Najprawdopodobniej eksterminacja bakteriologiczna. Za trzy i pół lub cztery lata Shackleton powróci na Nową Tahiti i zastanie prosperującą ziemską kolonię bez Problemu Stworzątek. W ogóle go nie będzie. Przykro nam z powodu tej zarazy, zastosowaliśmy wszystkie środki ostrożności wymagane przez kodeks, ale musiała to być jakaś mutacja, nie mieli żadnej naturalnej odporności, lecz udało nam się uratować grupkę przewożąc ich na Nowe Falklandy na Półkuli Południowej i nieźle się im tam wiedzie, wszystkim sześćdziesięciu dwóm…

Konferencja nie trwała już długo. Kiedy się skończyła, wstał i przechylił się przez stół do Lepennona.

— Musi pan powiedzieć Lidze, żeby coś zrobiła, aby uratować lasy, leśny lud — rzekł prawie niedosłyszalnie, ze ściśniętym gardłem. — Musi pan, proszę, musi pan.

Hain spotkał jego wzrok; spojrzenie miał chłodne, uprzejme i głębokie jak studnia. Nic nie odrzekł.

4.

To było nie do wiary. Oni wszyscy powariowali. Ten cholerny obcy świat zrobił z nich świrów, posłał ich w świat snów i cześć, razem ze stworzątkami. Ciągle nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył podczas „konferencji" i odprawy zaraz po niej; nawet gdyby ujrzał to wszystko ponownie na filmie. Komandor statku Floty Gwiezdnej podlizujący się dwóm humanoidom. Inżynierowie i technicy ochający i achający nad wymyślnym radiem sprezentowanym im przez włochatego Cetianina wśród licznych kpin i przechwałek, jak gdyby nauka ziemska nie przewidziała natychmiastowej łączności przed wielu laty! Humanoidzi ukradli pomysł, wprowadzili go w życie i nazwali go ansiblem, aby nikt nie pomyślał, że to po prostu superradio. Aie najgorsza była konferencja z tym psychicznym, Ljubowem, który bredził i płakał, i pułkownikiem Donghem, który mu na to pozwalał, pozwalał mu obrażać Davidsona i personel Dowództwa KG i całą kolonię; a przez cały czas ci dwaj obcy siedzieli i uśmiechali się, ta mała szara małpa i ten wielki biały elf, szydzący z ludzi.

Było zupełnie źle. Wcale się nie poprawiło od czasu odlotu Shackletona. Nie miał nic przeciwko wysłaniu go do obozu na Nowej Jawie pod majorem Muhamedem.

Pułkownik musiał go ukarać; stary Ding-Dong w rzeczywistości mógł być bardzo zadowolony z tego ogniowego ataku, który Davidson przeprowadził na Wyspie Smitha, ale atak ten był wykroczeniem przeciw dyscyplinie i stary musiał udzielić mu nagany. W porządku, zasady gry. Ale w zasadach nie było tych wszystkich bzdur nadchodzących przez ten przerośnięty telewizor, który nazwali ansiblem — nowy mały blaszany bóg tych tam w Dowództwie.

Rozkazy z Biura Administracji Kolonialnej w Karaczi: „Ograniczyć kontakty Ziemian z Athsheanami do sytuacji zaaranżowanych przez Athshean". Innymi słowy nie można już było wejść do zagrody dla stworzątek i zgarnąć grupy roboczej. „Użycie pracy ochotniczej nie jest zalecane; użycie pracy przymusowej jest zabronione". I tak dalej. Jak, do diabła, mieli wykonać robotę? Chciała Ziemia tego drewna czy nie? Ciągle wysyłali automatyczne statki towarowe na Nową Tahiti, prawda? Cztery na rok, a każdy z nich zabierał z powrotem na Matkę Ziemię pierwszorzędne drewno wartości trzydzieści milionów nowodolarów. Z pewnością ludzie z Rozwoju potrzebowali tych milionów. To ludzie interesu. Te rozkazy nie pochodziły od nich, każdy głupi to widział.

„Rozważa się status kolonialny Świata 41" — dlaczego nie używali już nazwy Nowa Tahiti? „Do czasu podjęcia decyzji koloniści

powinni zachować najwyższą rozwagę we wszystkich stosunkach z tubylcami… Użycie jakiejkolwiek broni z wyjątkiem małej broni bocznej noszonej dla samoobrony jest absolutnie zakazane” — tak jak na Ziemi, tylko że tam nie można było nosić nawet broni bocznej. Ale po co, do diabła, pokonywać dwadzieścia siedem łat świetlnych do świata nadgranicznego, a potem usłyszeć: żadnej broni, żadnego ognia, żadnych bakteriobomb, nie, nie, po prostu siedźcie jak grzeczni chłopcy i pozwólcie, aby stworzątka przychodziły i pluły wam w twarz i śpiewały nad wami, a potem wbijały wam noże w bebechy i paliły wasz obóz, ale nie zróbcie krzywdy miłym zielonym stworkom, nie, proszę pana!

„Usilnie zaleca się politykę unikania; polityka agresji bądź odwetu jest surowo zakazana”.

W gruncie rzeczy o to chodziło we wszystkich przekazach i każdy głupi poznał, że nie mówiła tego Administracja Kolonialna. Nie mogli zmienić się tak bardzo w ciągu trzydziestu lat. To byli praktyczni, realistycznie patrzący ludzie, którzy wiedzieli, jak wygląda życie na planetach nadgranicznych. Dla każdego, kto nie ześwirował od geoszoku, jasne było, że przekazy ansibla są fałszywe. Mogły zostać umieszczone w maszynie, cały zestaw odpowiedzi na pytania o dużym stopniu prawdopodobieństwa, obsługiwany przez komputer. Inżynierowie twierdzili, że potrafią to zauważyć; może i tak. W takim razie to rzeczywiście błyskawicznie nawiązywało łączność z innym światem. Lecz ten świat nie był Ziemią. W żadnym wypadku! Nie było żadnych ludzi wystukujących odpowiedzi na drugim końcu tej zabawki: to Obcy, humanoidzi. Prawdopodobnie Cetianie, bo maszyna była produktem cetiańskim, a to banda cwanych diabłów. Pochodzili z gatunku, który rzeczywiście mógł zabiegać o międzygwiezdną supremację. Hainowie oczywiście są z nimi w zmowie; wszystkie te raniące serce historyjki w tych tak zwanych dyrektywach brzmiały z haińska. Jakie dalekosiężne zamierzenia mieli Obcy, trudno było tu na miejscu zgadnąć; prawdopodobnie zakładały one osłabienie Rządu Ziemskiego przez wplątanie go w tę sprawę Ligi Światów, do czasu, gdy Obcy będą wystarczająco silni, aby zbrojnie przejąć władzę. Ale ich plan co do Nowej Tahiti łatwo było przejrzeć. Chcieli pozwolić stworzątkom wybić ludzi za nich. Wystarczy związać ludziom ręce mnóstwem fałszywych dyrektyw z ansibla i pozwolić, żeby zaczęła się rzeź. Humanoidzi pomagają humanoidom: szczury pomagają szczurom.

A pułkownik Dongh to przełknął. Zamierzał wykonywać rozkazy. Tak właśnie powiedział Davidsonowi. „Zamierzam wykonywać rozkazy, a na Nowej Jawie będzie pan tak samo wykonywał rozkazy majora Muhameda”. Stary Ding Dong był głupi, ale lubił Davidsona, a Davidson lubił jego. Jeśli miało to oznaczać zdradę rasy ludzkiej na

rzecz obcej konspiracji, to nie będzie mógł wykonywać jego rozkazów, ale jednak przykro mu było z powodu starego żołnierza. Głupiec, ale lojalny i odważny. Nie taki urodzony zdrajca, jak ta skomląca rozpaplana piła Ljubow. Jeśli był jakiś człowiek, co do którego miał nadzieję, że stworzątka go dopadną, to właśnie jajogłowy Raj Ljubow, miłośnik Obcych.

Niektórzy ludzie, zwłaszcza typy azjatyckie i hinduskie, to urodzeni zdrajcy. Nie wszyscy, ale niektórzy. Pewnie inni ludzie to urodzeni zbawcy. Po prostu tak są skonstruowani, tak jak się jest Eurafem z pochodzenia lub ma się dobry wygląd; nie była to jego własna zasługa. Jeśli mógł uratować mężczyzn i kobiety Nowej Tahiti, to ich uratuje; jeśli nie mógł, to będzie się cholernie starał, no i tyle.

Kobiety to dopiero był problem. Zabrali te dziesięć panienek, które były na Nowej Jawie, a z Centralu nie przysyłano żadnych nowych. „Nie jest jeszcze bezpiecznie", plotło Dowództwo. Dosyć ostro w tych trzech wysuniętych obozach. Spodziewali się, że co robotnicy będą robić, jeśli było precz z rękami od samic stworzątek, a samice ludzi były dla szczęściarzy z Centralu? To spotka się ze strasznym oporem. Ale nie potrwa długo, cała sytuacja była zbyt idiotyczna, aby miała się utrzymać. Jeśli teraz, kiedy odleciał Shackleton, sprawy nie zaczną powoli wracać do normy, to kapitan D. Davidson będzie po prostu musiał wykonać trochę dodatkowej pracy, aby nadać rzeczom bieg w kierunku normalności.

W dniu, w którym wyjechał z Centralu, wypuścili całą tubylczą siłę roboczą. Wygłosili wielką szlachetną mowę w miejscowym żargonie, otworzyli bramy obozów i wypuścili każde jedno oswojone stworzątko, tragarzy, kopaczy, kucharzy, śmieciarzy, służących, pokojówki, wszystkich. Nie został ani jeden. Niektórzy z nich byli u swoich panów od samego założenia kolonii; cztery ziemskie lata temu. Ale nie wiedzieli, co to lojalność. Pies, szympans trzymałby się w pobliżu. Oni nie byli nawet w takim stopniu rozwinięci, byli prawie jak węże albo szczury, sprytni na tyle, aby odwrócić się i ugryźć, jak tylko wypuści się ich z klatki. Ding Dong był szurnięty, żeby wypuścić te wszystkie stworzątka w samym sąsiedztwie. Zrzucić ich na Wyspę Śmietnikową i pozwolić im umrzeć z głodu to tak naprawdę najlepsze rozwiązanie. Ale Dongh był ciągle spanikowany przez tę parę humanoidów i ich gadające pudełko. Więc jeśli dzikie stworzątka koło Centralu planowały powtórzyć masakrę z Obozu Smitha, miały teraz mnóstwo naprawdę przydatnych nowych rekrutów, którzy znali plan całego miasta, zwyczaje, wiedzieli, gdzie jest arsenał, posterunki wartowników i cała reszta. Jeśli Central zostanie spalony, Dowództwo będzie mogło sobie podziękować. Właściwie na to zasługiwało. Za to, że dali się wystrychnąć na dudka zdrajcom, że słuchali humanoidów i ignorowali rady ludzi, którzy naprawdę wiedzieli, jakie są te

stworzątka.

Żaden z tych panów z Dowództwa nie wrócił do obozu i nie znalazł popiołu, zniszczeń i spalonych ciał jak on. I ciało Oka, tam gdzie wyrżnęli drwali, z obu oczu sterczały mu strzały, jak jakiś niesamowity owad ze sterczącymi czułkami badający powietrze, Chryste, ciągle to widział.

W każdym razie, cokolwiek by mówiły fałszywe „dyrektywy", chłopcy z Centralu nie dali sobie wetknąć „małej broni bocznej" do samoobrony. Mieli miotacze ognia i karabiny maszynowe; szesnaście małych skoczków miało karabiny maszynowe i można ich było także używać do zrzucania napalmu; pięć dużych skoczków miało pełne uzbrojenie. Ale nie będą potrzebowali grubej broni. Wystarczy wziąć skoczka nad jeden z wyrąbanych obszarów i złapać tam kupę stworzątek, z tymi ich cholernymi łukami i strzałami, zrzucić na nich puszki z napalmem i patrzeć, jak biegają w kółko i się palą. Tak będzie dobrze. Kiedy tak sobie to wyobrażał, żołądek trochę podjechał mu do gardła, tak jak kiedy myślał o przeleceniu kobiety albo za każdym razem, jak przypominał sobie o tym, kiedy to stworzątko Sam zaatakowało go i jak wgniótł mu całą twarz czterema ciosami jeden po drugim. To była pamięć ejdetyczna plus wyobraźnia żywsza niż u większości innych ludzi, bez żadnej zasługi, po prostu taki był.

Bo chodzi o to, że mężczyzna jest naprawdę i całkowicie mężczyzną tylko wtedy, kiedy właśnie miał kobietę lub kiedy właśnie zabił człowieka. To nie było oryginalne, wyczytał to w jakichś starych książkach; ale to prawda. Dlatego lubił wyobrażać sobie takie sceny. Nawet jeśli stworzątka tak naprawdę nie były ludźmi.

Z pięciu dużych Lądów najbardziej wysunięta na południe była Nowa Jawa. Leżała tuż na północ od równika, była więc gorętsza niż Central czy Smith, prawie doskonała, jeśli chodzi o klimat. Gorętsza i o wiele wilgotniejsza. Na Nowej Tahiti ciągle gdzieś padało w porach mokrych, ale na lądach północnych był to cichy, drobny, nieustannie padający deszczyk, który tak naprawdę nikogo nie moczył ani nie przeziębią!. Tu lało jak z cebra i była to monsunowa burza, podczas której nawet nie dało się chodzić, a co dopiero pracować. Tylko solidny dach osłaniał przed deszczem lub las. Ten cholerny las był tak gęsty, że nie przepuszczał burz. Można było oczywiście zmoknąć od kropli spadających z liści, ale jeśli ktoś był rzeczywiście w środku lasu podczas takiego monsunu. właściwie nie zauważał, że wieje wiatr; a potem wychodził na otwartą przestrzeń i bach! Wiatr zwalał z nóg, a czerwone płynne błoto, w jakie deszcz zamienił oczyszczoną ziemię, opryskiwało całe ciało, gdyż nie udawało się schronić w lesie wystarczająco szybko; a w lesie panował mrok, gorąco i łatwo można było zabłądzić.

Poza tym oficer dowodzący, major Muhamed, był cholernym

sukinsynem. Wszystko na Nowej Jawie robiło się według regulaminu; wyrąb tylko w kilopasach, sadzenie tych głupich roślin włóknistych w wyrąbanych pasach, urlop do Centralu udzielany rotacyjnie według ściśle przestrzeganej zasady niepreferencji, wydzielanie halucynogenów i karanie ich użycia na służbie, itd., itd. Jednak jedną dobrą rzeczą u Muhameda było to, że nie zawsze utrzymywał łączność radiową z Centralem. Nowa Jawa była jego obozem i prowadził go na swój sposób. Nie podobały mu się rozkazy z Dowództwa. Owszem, wykonywał je, wypuścił wszystkie stworzątka i zamknął całą broń z wyjątkiem małych pukawek, gdy tylko nadeszły rozkazy. Ale nie dopytywał się o rozkazy ani o rady. Był typem przekonanym o słuszności swego postępowania. I tu popełnił wielki błąd.

Kiedy Davidson podlegał Donghowi w Dowództwie, miał czasami okazję oglądać akta oficerów. Jego niezwykła pamięć przechowywała takie rzeczy i na przykład przypomniał sobie, że iloraz inteligencji Muhameda wynosił 107, podczas gdy jego własny wynosił 118. Była między nimi różnica jedenastu punktów; ale oczywiście nie mógłby tego powiedzieć staremu Muu, a Muu sam tego nie wiedział, więc nie było sposobu, aby go zmusić do słuchania. Myślał, że wie lepiej od Davidsona, i to było to.

Właściwie wszyscy byli trochę nieprzyjemni na początku.

Żaden z tych ludzi na Nowej Jawie nic nie wiedział o rzezi w Obozie Smitha oprócz tego, że dowódca obozu wybrał się do Centralu na godzinę przed nią i był jedynym człowiekiem, który uszedł z życiem. Ujęte w ten sposób brzmiało to oczywiście źle. Można było zrozumieć, dlaczego z początku patrzyli na niego jak na jakiegoś Jonasza albo jeszcze gorzej, nawet jak na Judasza. Ale kiedy go poznali, zmienili zdanie. Zaczęli rozumieć, że nie tylko nie był dezerterem czy zdrajcą, ale że oddany jest sprawie ochrony kolonii Nowej Tahiti przed zdradą. I zaczęli zdawać sobie sprawę, że pozbycie się stworzątek było jedynym sposobem uczynienia tego świata bezpiecznym dla ziemskiego stylu życia.

Dość szybko udało się zacząć przekazywać to drwalom. Nigdy nie lubili tych małych zielonych szczurów, których musieli cały dzień naganiać do pracy i całą noc pilnować; lecz teraz zaczęli rozumieć, że stworzątka są nie tylko odrażające, ale i niebezpieczne. Kiedy Davidson opowiedział im, co zastał w Obozie Smitha, kiedy wyjaśnił, jak dwu humanoidów ze statku Floty wyprało mózgi w Dowództwie; kiedy pokazał, że wygnanie Ziemian z Nowej Tahiti było tylko małą częścią całego spisku Obcych konspiracji przeciwko Ziemi; kiedy przypomniał im o zimnych twardych liczbach, dwa i pół tysiąca ludzi na trzy miliony stworzątek — wtedy zaczęli rzeczywiście go popierać.

Nawet tutejszy Oficer Kontroli Ekologicznej był z nim. Nie jak biedny stary Kees, wściekły, bo ludzie strzelali do czerwonych jeleni, a

potem sam postrzelony z ukrycia w bebechy przez stworzątka. Ten facet, Atranda, nienawidził stworzątek. Właściwie miał fioła na ich punkcie, dostał geoszoku czy co; tak się bał, że stworzątka zaatakują obóz, że zachowywał się jak jakaś kobieta bojąca się gwałtu. Ale i tak dobrze było mieć po swojej stronie miejscowego speca.

Nie było co próbować ustawić dowódcę; jako znawca ludzi Davidson prawie od razu zrozumiał, że nie ma to sensu. Muhamed to twardogłowy. Był także na stałe uprzedzony do Davidsona; miało to coś wspólnego ze sprawą Obozu Smitha. Prawie powiedział Davidsonowi, że nie uważa go za oficera godnego zaufania.

Był to przekonany o słuszności swego postępowania sukinsyn, ale dobrze było, że prowadził obóz Nowa Jawa wedle takich twardych zasad. Łatwiej było przejąć ścisłą organizację, przyzwyczajoną do wykonywania rozkazów, niż luźną, pełną niezależnych osób, i łatwiej było ją utrzymać jako jednostkę do obronnych i zaczepnych akcji militarnych, kiedy już obejmie się jej dowództwo. Będzie musiał przejąć dowództwo. Muu był dobrym szefem obozu drwali, ale żadnym żołnierzem.

Davidson był zajęty skupianiem wokół siebie najlepszych drwali i młodych oficerów. Nie spieszył się. Kiedy zebrał wystarczającą grupę takich, którym rzeczywiście mógł zaufać, dziesięcioosobowy oddział ściągnął parę rzeczy z zamkniętego pokoju starego Muu w piwnicy baraku rekreacyjnego pełnego zabawek wojennych, a potem jednej niedzieli poszedł do lasu się zabawić.

Davidson odkrył miasto stworzątek parę tygodni temu i zachował tę przyjemność dla swych ludzi. Mógł to zrobić w pojedynkę, ale tak było lepiej. Zyskiwało się poczucie braterstwa, prawdziwych więzów między ludźmi. Po prostu weszli do miasta w biały dzień, pokryli napalmem wszystkie stworzątka złapane na powierzchni ziemi i spalili je, a potem oblali naftą dachy tej królikami i usmażyli resztę. Te, które próbowały się wydostać, obrzucało się napalmem; to była część artystyczna — czekać przy drzwiach na te małe szczury, pozwolić im myśleć, że im się udało, a potem smażyć je od stóp do głów, tak że wyglądały jak pochodnie. Zielone futro skwierczało jak szalone.

Właściwie nie było to o wiele bardziej ekscytujące niż polowanie na prawdziwe szczury, które były prawie jedynymi dzikimi zwierzętami, jakie pozostały na Matce Ziemi, ale wywoływało to większy dreszczyk; stworzątka były o wiele większe od szczurów i było wiadomo, że mogą wziąć odwet, choć tym razem tego nie zrobiły. W rzeczywistości niektóre z nich nawet kładły się zamiast uciekać, po prostu leżały na plecach z zamkniętymi oczami. To przyprawiało o mdłości. Inni też tak myśleli, a jednemu z nich zrobiło się niedobrze i zwymiotował po tym, jak spalił jedno z leżących stworzątek.

Mimo że było z tym u nich krucho, nie zostawili przy życiu nawet jednej samicy, aby ją zgwałcić. Wszyscy zgodzili się przedtem z Davidsonem, że byłaby to prawie perwersja. Homoseksualizm z innymi ludźmi był normalny. Te istoty mogły być zbudowane jak kobiety, ale to nie byli ludzie i lepiej było mieć uciechę z zabijania ich, a zostać czystym. Wydawało się to wszystkim sensowne i tego się trzymali.

Każdy z nich trzymał w obozie jadaczkę zamkniętą; nie przechwalali się nawet przed kumplami. To byli rozsądni ludzie. Nawet słówko o wyprawie nie dotarło do uszu Muhameda. Stary Muu sądził, że wszyscy jego ludzie to dobrzy chłopcy piłujący jedynie drewno i trzymający się z daleka od stworzątek, tak, proszę pana; i mógł sobie dalej w to wierzyć aż do dnia Sądu Ostatecznego.

Bo stworzątka zaatakują. Gdzieś. Tutaj lub jeden z obozów na Wyspie Królewskiej lub Centralnej. Davidson to wiedział. Był jedynym oficerem w całej kolonii, który rzeczywiście to wiedział. Bez żadnej zasługi, po prostu wiedział, że ma rację. Nikt inny mu nie wierzył poza tymi ludźmi tutaj, których miał czas przekonać. Ale wszyscy inni prędzej czy później zobaczą, że miał rację.

A miał ją.

5.

Spotkanie Selvera twarzą w twarz było szokiem. Kiedy Ljubow leciał z powrotem do Centralu z wioski leżącej u podnóża wzniesienia, próbował stwierdzić, dlaczego był to szok; wyróżnić nerw, który nie wytrzymał. Bo przecież zwykle nie jest się przerażonym przypadkowym spotkaniem z dobrym przyjacielem.

Niełatwo było przekonać przywódczynię, aby go zaprosiła. Tuntar stał się głównym miejscem jego badań przez całe lato; miał tam kilku świetnych informatorów i był w dobrych stosunkach z Szałasem i przywódczynią, która pozwalała mu swobodnie obserwować i brać udział w życiu społeczności. Wycyganienie od niej zaproszenia za pośrednictwem kilku byłych niewolników, jeszcze przebywających w okolicy, zajęło dużo czasu, ale w końcu spełniła prośbę, dostarczając mu, zgodnie z nowymi dyrektywami, prawdziwej „sytuacji zaaranżowanej przez Athshean". Domagało się tego raczej jego własne sumienie niż pułkownika. Dongh chciał, żeby Ljubow tam poszedł. Martwił się zagrożeniem ze strony stworzątek. Kazał Ljubowowi ocenić ich, „zobaczyć, jak reagują teraz, kiedy zostawiamy ich samym sobie". Miał nadzieję na pomyślne wieści. Ljubow nie mógł się zdecydować, czy raport, który przekaże, będzie pomyślny dla pułkownika Dongha, czy nie.

W promieniu dziesięciu kilometrów od Centralu równina została pozbawiona drzew i wszystkie pniaki już wygniły; była to teraz wielka monotonna płaszczyzna pokryta włochatoszarymi w deszczu roślinami włóknistymi. Pod włochatymi liśćmi wypuszczały pierwsze pędy krzaki sumaku, karłowate osiki i formy ochronne, które, kiedy wyrosną, będą z kolei osłaniać młode drzewa. Obszar ten pozostawiony samemu sobie w tym umiarkowanym, deszczowym klimacie mógłby pokryć się lasem w ciągu trzydziestu lat, a w ciągu stu ponownie odzyskać zalesienie w pełnym rozkwicie. Pozostawiony sam sobie.

Nagle las pojawił się znowu w przestrzeni, nie w czasie: pod helikopterem nieskończenie zróżnicowana zieleń liści pokrywała łagodne wzniesienia i zagłębienia Północnego Sornolu. Jak większość Ziemian z Terry Ljubow nigdy nie spacerował wśród dzikich drzew, nigdy nie widział lasu większego od miejskiego kwartału. Na początku pobytu na Athshe czuł się w lesie nieswojo, przytłoczony i zduszony nie kończącą się gęstwiną i plątaniną pni, gałęzi, liści w wiecznym zielonkawym czy brązowawym półmroku. Sama masa i kotłowanina różnych współzawodniczących ze sobą form życia, pnących się i wzbierających na zewnątrz i w górę do światła, cisza składająca się z wielu nic nie znaczących dźwięków, absolutna roślinna obojętność na

obecność rozumu, wszystko to niepokoiło go, i tak jak inni trzymał się polan i plaży. Lecz pomału zaczął lubić las. Gosse drażnił się z nim nazywając go Panem Gibbonem; w gruncie rzeczy Ljubow trochę przypominał gibbona ze swoją okrągłą ciemną twarzą, długimi rękami i wcześnie siwiejącymi włosami; jednak gibbony wyginęły. Czy mu się to podobało, czy nie, jako ekspert od pomagaczy musiał chodzić do lasu w ich poszukiwaniu; a teraz po czterech latach czuł się pod drzewami jak u siebie w domu, może nawet bardziej niż gdziekolwiek indziej.

Polubił także nazwy Athshean nadawane ich własnym ziemiom i miejscom, dźwięczne dwusylabowe wyrazy: Sornol, Tuntar, Eshreth, Eshsen — teraz był to Central — Endtor, Abtan, a przede wszystkim Athshe, co znaczyło las i świat. Także ziemia, terra, tellus oznaczały zarówno glebę, jak i planetę. Jednak dla Athshean gleba, grunt, ziemia nie były tym, do czego wracają umarli i dzięki czemu żyją żywi: istoty ich świata nie stanowiła ziemia, lecz las. Ziemski człowiek był z gliny, czerwonego pyłu. Człowiek athsheański był z gałęzi i korzeni. Nie rzeźbił swych wizerunków w kamieniu, ale w drewnie.

Posadził skoczka na polance na północ od miasta i wszedł do niego mijając Szałas Kobiet. W powietrzu unosił się mocny zapach athsheańskiego osiedla: dym z ognisk, martwe ryby, wonne zioła, obcy pot. Atmosfera podziemnego domu, jeśli Ziemianin w ogóle mógł się doń wepchnąć, była rzadką mieszaniną CCh i różnych smrodów. Ljubow spędził wiele cennych intelektualnie godzin zgięty wpół, dusząc się w śmierdzącym mroku Szałasu Mężczyzn w Tuntarze. Ale tym razem nie wyglądało, żeby miał być do niego zaproszony.

Oczywiście mieszkańcy miasta wiedzieli o masakrze w Obozie Smitha, która miała miejsce sześć tygodni temu. Wiedzieliby o niej od razu, bo wiadomości roznosiły się szybko między wyspami, choć nie tak szybko, aby stanowiło to „tajemniczą zdolność telepatii", w co chcieli wierzyć drwale. Mieszkańcy miasta wiedzieli także, iż wkrótce po masakrze w Obozie Smitha uwolniono tysiąc dwustu niewolników w Centralu i Ljubow zgadzał się z pułkownikiem, że tubylcy mogą uznać to drugie wydarzenie za rezultat pierwszego. Wywołało to coś, co pułkownik Dongh nazwałby „mylnym wrażeniem", ale prawdopodobnie nie miało znaczenia. Ważne było to, że uwolniono niewolników. Wyrządzonego zła nie dało się naprawić, ale przynajmniej już więcej go nie czyniono. Mogli zacząć od nowa: tubylcy bez tego bolesnego, pozostającego bez odpowiedzi zdumienia, dlaczego jumeni traktują ludzi jak zwierzęta, a on bez ciężaru wyjaśniania i dojmującego uczucia niezmywalnej winy.

Wiedząc, jak cenią szczerość i otwarte rozmowy na tematy przerażające lub kłopotliwe, oczekiwał, że w Tuntarze ludzie będą z nim o tym rozmawiać, z tryumfem, ubolewaniem, radością lub

zdumieniem. Nikt tego nie uczynił. W ogóle niewiele z nim rozmawiano.

Przybył późnym popołudniem, co odpowiadało przybyciu do ziemskiego miasta zaraz po wschodzie słońca. Athsheanie oczywiście spali — koloniści często ignorowali dostrzegalne fakty — lecz ich niż fizjologiczny przypadał na okres między południem a szesnastą, podczas gdy u Ziemian występuje on zwykle między drugą i piątą rano; i mieli oni cykl wysokiej temperatury i wysokiej aktywności z dwoma punktami szczytowymi przypadającymi na obie pory zmroku, świt i wieczór. Większość dorosłych spała pięć lub sześć godzin na dwadzieścia cztery, w kilku drzemkach, a młodzi mężczyźni spali tylko dwie na dwadzieścia cztery, tak więc, jeśli odliczyło się zarówno ich drzemki, jak i stany śnienia jako „lenistwo", można było powiedzieć, że nigdy nie spali. O wiele łatwiej było tak powiedzieć, niż zrozumieć, co rzeczywiście robili. W tej chwili w Tuntarze wszystko zaczynało się znowu ruszać po południowym spadku aktywności.

Ljubow zauważył wielu obcych. Patrzyli na niego, ale żaden się nie zbliżył; przechodzili jedynie innymi ścieżkami w mroku wielkich dębów. W końcu nadszedł jego ścieżką ktoś, kogo znał, kuzynka przywódczyni, Sherrar, stara kobieta o niewielkim znaczeniu i niewiele rozumiejąca.

Przywitała go uprzejmie, ale nie umiała lub nie chciała odpowiedzieć na pytania Ljubowa o przywódczynię i jego dwu najlepszych informatorów, Egatha Opiekuna Sadów i Tubaba Śniącego. Och, przywódczyni jest bardzo zajęta, i kto to jest Egath, może chodzi mu o Gebana, a Tubab może być tu, a może gdzie indziej albo nie. Trzymała się Ljubowa i nikt inny z nim nie rozmawiał. Torował sobie drogę przez zagajniki i polanki Tuntaru do Szałasu Mężczyzn w towarzystwie utykającej, narzekającej maleńkiej zielonej staruchy.

— Są zajęci — powiedziała Sherrar.

— Śnią?

— Skąd mogłabym wiedzieć? Chodź, Ljubow. Chodź i zobacz…

Wiedziała, że zawsze był gotów coś obejrzeć, ale nie mogła niczego wymyślić, żeby go odciągnąć.

— Chodź i zobacz sieci na ryby — powiedziała niepewnie.

Przechodząca dziewczyna, jedna z Młodych Myśliwych, spojrzała w górę na niego; czarne spojrzenie, pełne takiej wrogości, jakiej nigdy nie doświadczył ze strony żadnego Athsheanina, z wyjątkiem może małego dziecka, które zmarszczyło brwi na widok jego wzrostu i bezwłosej twarzy. Lecz ta dziewczyna nie była przestraszona.

— Dobrze — powiedział do Sherrar, czując, że jedynym jego wyjściem była uległość. Jeśli u Athshean rzeczywiście w końcu

rozwinęło się — i to gwałtownie — poczucie grupowej wrogości, musi to przyjąć i po prostu spróbować pokazać im, że pozostał godnym zaufania, pewnym przyjacielem.

Ale jak ich sposób odczuwania i myślenia mógł zmienić się tak szybko, po tak długim czasie? I dlaczego? W Obozie Smitha prowokacja była bezpośrednia i nie do zniesienia: okrucieństwo Davidsona mogło wywołać przemoc nawet u Athshean. Lecz to miasto, Tuntar, nigdy nie było zaatakowane przez Ziemian, nie przeżyło łapanki niewolników, nie widziało wycinania czy palenia okolicznego lasu. On sam, Ljubow, był tam — antropolog czasem rzuca swój cień na obraz, który odmalowuje — ale nie wcześniej niż ponad dwa miesiące temu. Mieli wiadomości z lądu Smitha; znajdowali się teraz wśród nich uciekinierzy, byli niewolnicy, którzy doznali cierpień z rąk Ziemian i mówili o tym. Ale czy wiadomości i pogłoski mogły zmienić słuchających tak radykalnie? Skoro nieagresywność była zakorzeniona głęboko w całej ich kulturze, społeczeństwie i nawet w ich podświadomości, w „czasie snu", a może nawet w samej fizjologii? Że Athsheanin mógł zostać sprowokowany przez potworne okrucieństwa do usiłowania zabójstwa, o tym wiedział: widział to kiedyś — raz. Że rozdarta społeczność mogła być podobnie sprowokowana przez takie same urazy nie do zniesienia, w to musiał uwierzyć: tak się stało w Obozie Smitha. Ale że rozmowy i pogłoski, nieważne, jak przerażające i oburzające, mogły rozwścieczyć osiadłą społeczność tego ludu do takiego stopnia, że działali wbrew swoim zwyczajom i rozsądkowi, całkowicie wyłamali się ze swego stylu życia, w to nie potrafił uwierzyć. Było to psychologicznie nieprawdopodobne. Brakowało jakiegoś elementu.

Stary Tubab wyszedł z Szałasu, właśnie kiedy Ljubow przechodził przed nim. Za starym mężczyzną wyszedł Selver.

Selver wyczołgał się z otworu tunelu, wyprostował, zamrugał w szarym od deszczu i przytłumionym listowiem blasku dnia. Kiedy spojrzał do góry, jego ciemne oczy napotkały spojrzenie Ljubowa. Żaden z nich się nie odezwał. Ljubow był bardzo przestraszony.

Wracając do domu skoczkiem, próbując znaleźć nadszarpnięty nerw, myślał: dlaczego strach? Dlaczego bałem się Selvera? Intuicja nie do udowodnienia czy jedynie fałszywa analogia? W każdym razie irracjonalna.

Nic się nie zmieniło między Selverem i Ljubowem. To co Selver zrobił w Obozie Smitha, można było usprawiedliwić; nawet jeśli nie można byłoby tego usprawiedliwić, nie sprawiało to różnicy. Przyjaźń między nimi była zbyt głęboka, aby mogły jej dotknąć moralne wątpliwości. Ciężko razem pracowali; uczyli się nawzajem, w bardziej niż dosłownym sensie, swoich języków. Rozmawiali bez zahamowań. A miłość Ljubowa do przyjaciela wzrosła o wdzięczność, jaką czuje

wybawca wobec tego, czyje życie miał przywilej uratować.

Właściwie aż do tej chwili prawie nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo lubił Selvera i jak bardzo lojalny był względem niego. Czy w gruncie rzeczy jego strach nie był osobistym strachem, że Selver, poznawszy nienawiść rasową, mógł go odrzucić, wzgardzić jego lojalnością i traktować go nie jako „jego", „ale jednego z nich"?

Po tym długim pierwszym spojrzeniu Selver wolno postąpił do przodu i przywitał Ljubowa wyciągając ręce.

Dotyk był głównym kanałem łączności wśród leśnego ludu. Wśród Ziemian dotyk zawsze może oznaczać groźbę, agresję, i dlatego dla nich często nie ma nic między formalnym uściskiem ręki a miłosną pieszczotą. Cała ta pusta przestrzeń była wypełniona u Athshean różnymi formami dotyku. Pieszczota jako sygnał i uspokojenie była dla nich tak ważna jak dla matki i dziecka czy dla kochanków. Miała ważne znaczenie społeczne, a nie tylko macierzyńskie czy seksualne. Należała do ich języka. Była więc ujęta w ramy wzorów, skodyfikowana, a jednak nieskończenie podatna na modyfikację. „Ciągle się obmacują", mówili z drwiną niektórzy koloniści, niezdolni zobaczyć w tej wymianie dotyków nic poza ich własnym erotyzmem, który, zmuszany do koncentrowania się wyłącznie na seksie, potem tłumiony i niszczony, wdziera się w każdą zmysłową przyjemność i zatruwa ją: zwycięstwo oślepionego, ukradkowego Kupidyna nad wielką, pogrążoną w myślach matką wszystkich mórz i gwiazd, wszystkich liści drzew, wszystkich gestów ludzi, Venus Genetrix…

Tak więc Selver podszedł z wyciągniętymi rękami, potrząsnął ręką Ljubowa na ziemski sposób, a potem ujął głaszczącym ruchem oba jego ramiona tuż nad łokciami. Sięgał niewiele powyżej pasa Ljubowa, co sprawiało, że wszystkie gesty były dla obu trudne i wychodziły niezgrabnie, lecz w dotyku jego pokrytej zielonym futrem małej ręki o drobnych kościach nie było nic niepewnego lub dziecinnego. Stanowiło to zapewnienie. Ljubow był bardzo zadowolony, że je otrzymał.

— Selver, co za szczęście, że cię tu spotykam. Bardzo chcę z tobą porozmawiać…

— Teraz nie mogę, Ljubow.

Mówił łagodnie, ale kiedy się odezwał, zniknęła nadzieja Ljubowa na nie zmienioną przyjaźń. Selver zmienił się. Był radykalnie zmieniony: od korzeni.

— Czy mogę wrócić — rzekł Ljubow pośpiesznie — kiedy indziej i pomówić z tobą, Selver? To dla mnie ważne…

— Opuszczam dzisiaj to miejsce — powiedział Selver jeszcze łagodniej, ale jednocześnie puszczając ramiona Ljubowa i odwracając wzrok. W ten sposób dosłownie przerwał kontakt. Grzeczność wymagała, aby Ljubow uczynił to samo i pozwolił rozmowie dobiec

do końca. Ale wtedy nie byłoby nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Stary Tubab nawet nań nie spojrzał; miasto odwróciło się do niego plecami. I to był Selver, który kiedyś mienił się jego przyjacielem.

— Selver, ta masakra w Kelme Deva, może myślisz, że ona leży między nami. Nie jest tak. Może zbliża nas ona do siebie; a twoi rodacy w zagrodach niewolniczych, oni wszyscy zostali uwolnieni, więc to zło także już nie leży między nami. A nawet jeśli leży — zawsze leżało — ja i tak… jestem tym samym człowiekiem, Selver.

Z początku Athsheanin nie zareagował. Jego dziwna twarz, duże głęboko osadzone oczy, wyraziste rysy zniekształcone bliznami i przysłonięte krótkim jedwabistym futerkiem, które obrysowało, a jednak ukrywało wszystkie kontury, ta twarz odwróciła się od Ljubowa, zamknięta, uparta. Wtem obejrzał się nagle jakby wbrew własnej woli.

— Ljubow, nie powinieneś tu przychodzić. Powinieneś opuścić Central za dwie noce od dziś. Nie wierr, kim jesteś. Lepiej by było, gdybym nigdy cię nie poznał.

I z tym odszedł lekkim krokiem jak długonogi kot, zielony przebłysk wśród ciemnych dębów Tuntaru; i już go nie było. Tubab ruszył powoli za nim, ciągle nie spojrzawszy na Ljubowa. Delikatny deszcz padał bezgłośnie na dębowe liście i wąskie ścieżki prowadzące do Szałasu i nad rzekę. Tylko jeśli wytężyło się słuch, można było usłyszeć deszcz, którego muzyka była zbyt złożona, aby ogarnął ją jeden umysł, pojedynczy nie kończący się akord wydobywany z całego lasu.

— Selver jest bogiem — rzekła stara Sherrar. — Chodź teraz obejrzeć sieci na ryby.

Ljubow odmówił. Zostać byłoby niegrzecznie i niewłaściwie; w każdym razie nie miał do tego serca.

Usiłował sobie wmówić, że Selver nie odrzuca jego, Ljubowa, ale jego jako Ziemianina. Nie sprawiało to żadnej różnicy. Nigdy nie sprawia.

Zawsze był niemile zaskoczony tym, jak łatwo zranić jego uczucia, jak bardzo bolało, gdy ktoś je ranił. Wstydził się tej swojej młodzieńczej wrażliwości, do tej pory powinien mieć grubą skórę.

Mała starucha, której zielone futro całe było zakurzone i posrebrzone deszczem, odetchnęła z ulgą, kiedy się pożegnał. Gdy uruchomił skoczka, musiał uśmiechnąć się na jej widok, jak kuśtykając i podskakując umykała co tchu w drzewa niczym ropucha, co uciekła wężowi.

Jakość jest ważną sprawą, ale ilość też: wielkość względna. Normalna reakcja dorosłego człowieka na o wiele mniejszą osobę może być arogancka, opiekuńcza, protekcjonalna, czuła lub despotyczna, ale jakakolwiek bywa, jest dostosowana raczej do

dziecka niż do dorosłego. A kiedy osoba o wzroście dziecka jest pokryta futrem, odzywa się inna reakcja, którą Ljubow nazwał Reakcją Pluszowego Misia. Ponieważ u Athshean pieszczoty zajmują tak ważne miejsce, przejawy tej reakcji nie były niewłaściwe, ale ich motywacja pozostawała podejrzana. I w końcu była nieunikniona Reakcja Obcości, cofnięcie się przed tym, co jest ludzkie, ale niezupełnie na takie wygląda.

Lecz zupełnie poza tym wszystkim stał fakt, że Ath-sheanie, jak Ziemianie, czasami wyglądali po prostu śmiesznie. Niektórzy z nich naprawdę wyglądali jak małe ropuchy, sowy, gąsienice. Sherrar nie była pierwszą staruszką, której widok od tyłu uderzył Ljubowa swą śmiesznością…

A to właściwie jeden z problemów kolonii, myślał, kiedy unosił skoczka, a Tantar znikał pod dębami i bezlistnymi sadami. Nie mamy starych kobiet. Ani starych mężczyzn oprócz Dongha, a on ma tylko około sześćdziesiątki. Lecz stare kobiety różnią się od wszystkich innych, one mówią to, co myślą. Athsheanie są rządzeni, o ile w ogóle mają rząd, przez stare kobiety. Intelekt dla mężczyzn, polityka dla kobiet, a etyka dla wzajemnego układu obu stron: oto ich system. Ma on swój urok i funkcjonuje — dla nich. Szkoda, że Administracja nie wysłała paru babć z tymi wszystkimi dojrzałymi płodnymi młodymi kobietami o sterczących piersiach. Weźmy tę dziewczynę, którą sprowadziłem sobie zeszłej nocy: jest naprawdę bardzo miła i niezła w łóżku, ma dobre serce, ale mój Boże, upłynie czterdzieści lat, zanim będzie miała coś do powiedzenia mężczyźnie…

Lecz cały czas pod tymi myślami na temat starych i młodych kobiet trwał szok, domysł poznania, które nie chciało dać się rozszyfrować.

Musi to przemyśleć, zanim przekaże raport Dowództwu.

Selver: więc co z Selverem?

Selver z pewnością był kluczową postacią dla Ljubowa. Dlaczego? Ponieważ dobrze go znał albo z powodu jakiejś siły w jego osobowości, której Ljubow nigdy świadomie nie doceniał?

Ależ on ją docenił; bardzo szybko wyłonił Selvera jako osobę niezwykłą. Był wtedy Samem, osobistym służącym trzech oficerów dzielących jeden prefab. Ljubow pamiętał, jak Benson chwalił się, jakie to mają świetne stworzątko, dobrze wytresowane.

Wielu Athshean, szczególnie Śniący z Szałasów, nie mogło zmienić swego wielocyklicznego systemu snu na ziemski. Jeśli w nocy nadrabiali swój normalny sen, to uniemożliwiało im to zapadnięcie w REM lub sen paradoksalny, którego studwudziestominutowy rytm rządził ich życiem zarówno w dzień, jak i w nocy i nie dał się dopasować do ziemskiego dnia pracy. Jeśli raz się nauczyło śnić na jawie, uzależniać swą równowagę umysłową nie od rozsądku

wąskiego jak ostrze brzytwy, lecz od podwójnego oparcia, delikatnej równowagi rozsądku i snu; jeśli raz się tego nauczyło, nie można się tego oduczyć, tak jak nie można oduczyć się myśleć. Tak wielu mężczyzn było oszołomionych, zagubionych, odseparowywało się lub nawet zapadało w katatonię. Kobiety, odrzucone i upokorzone, zachowywały się z ponurą apatią świeżo zniewolonych.

Mężczyźni, którzy nie byli adeptami, i niektórzy z młodszych Śniących radzili sobie najlepiej; zaadaptowali się pracując ciężko w obozach drwali lub zostając świetnymi służącymi. Sam był jednym z nich: sprawny osobisty służący bez indywidualności, kucharz, pracz, lokaj, namydlacz pleców i kozioł ofiarny dla trzech panów. Nauczył się być niewidzialnym. Ljubow wypożyczył go jako etnologicznego informatora i przez jakieś podobieństwo umysłu i natury od razu zdobył zaufanie Sama. W nim znalazł idealnego nauczyciela, wyszkolonego w zwyczajach swego ludu, dostrzegającego ich znaczenie i potrafiącego szybko je przetłumaczyć, uczynić je zrozumiałym dla Ljubowa, wypełniając lukę między dwoma językami, dwiema kulturami, dwoma gatunkami rodzaju Człowiek.

Przez dwa lata Ljubow podróżował, studiował, przeprowadzał wywiady, obserwował i nie potrafił zdobyć klucza, który dałby mu dostęp do athsheańskiego umysłu. Nawet nie wiedział, gdzie jest zamek. Badał athsheańskie nawyki senne i odkrył, że najwyraźniej nie mieli nawyków sennych. Podłączał niezliczone elektrody do niezliczonych futrzanych zielonych głów i nie udało mu się dostrzec nic sensownego w znanych wzorach, wrzecionowatych liniach i ostrych wierzchołkach, w alfach, deltach i thetach, jakie pojawiały się na wykresie. To właśnie Selver sprawił, że Ljubow w końcu zrozumiał athsheańskie znaczenie słowa „sen", będącego synonimem słowa „korzeń", co dało mu klucz do królestwa leśnego ludu. To właśnie u Selvera poddanego badaniu EEG po raz pierwszy ujrzał i zrozumiał niezwykłe wzory impulsów mózgu wchodzącego w stan śnienia, nie będąc jednocześnie ani w stanie uśpienia, ani rozbudzenia: stan mający się do ziemskiego śnienia podczas snu jak Partenon do chaty z błota: w zasadzie to samo, ale z dodatkiem złożoności, jakości i kontroli.

Cóż zatem — cóż jeszcze?

Selver mógł uciec. Został, najpierw jako kamerdyner, później (dzięki jednej z nielicznych użytecznych prerogatyw Ljubowa jako speca) jako Pomocnik Naukowy, ciągle zamykany na noc z innymi stworzątkami w zagrodzie (Kwaterze Ochotniczego Autochtonicznego Personelu Robotniczego).

— Polecę z tobą do Tuntaru i tam będę z tobą pracował — rzekł kiedyś Ljubow, chyba podczas trzeciej rozmowy z Selverem. — Na miłość boską, po co masz być tutaj?

— Moja żona Thele jest w zagrodzie — odpowiedział wtedy Selver. Ljubow próbował uzyskać jej zwolnienie, ale pracowała w kuchni Dowództwa, a sierżanci, którym podlegała grupa kuchenna, nie życzyli sobie żadnych interwencji ze strony „góry" i „speców". Ljubow musiał być bardzo ostrożny, żeby nie odegrali się na kobiecie. Ona i Selver, wydawało się, byli gotowi cierpliwie czekać, aż oboje mogliby uciec lub zostać uwolnieni. Stworzą tka płci męskiej i żeńskiej były ściśle odseparowane w zagrodzie — nikt chyba nie wiedział dlaczego — i mężowie rzadko widywali się z żonami. Ljubowowi udawało się organizować im spotkania w chacie, którą miał dla siebie na północnym krańcu miasta. Właśnie kiedy Thele wracała do Dowództwa z jednego z takich spotkań, zobaczył ją Davidson i najwyraźniej pociągnęła go jej krucha, przestraszona gracja. Kazał sprowadzić ją tej nocy do swojej kwatery i zgwałcił ją.

Zabił ją w trakcie, być może — zdarzało się to już przedtem w wyniku różnic w budowie — lub ona sama przestała żyć. Jak niektórzy Ziemianie, Athsheanie posiadali autentyczną umiejętność sprowadzania śmierci na życzenie i potrafili przestać żyć. W każdym przypadku zabił ją Davidson. Takie morderstwa zdarzały się przedtem. Jednak przedtem nie zdarzało się to, co uczynił Selver na drugi dzień po jej śmierci.

Ljubow zjawił się tam dopiero pod koniec. Pamiętał krzyki, siebie biegnącego główną ulicą w gorącym słońcu, kurz, grupkę mężczyzn. Całość mogła trwać tylko pięć minut, długi czas jak na morderczą walkę. Kiedy Ljubow tam dotarł, Selver był oślepiony krwią niczym zabawka dla Davidsona, a jednak podnosił się i wracał, nie oszalały z wściekłości, ale z inteligentną rozpaczą. Ciągle wracał. W końcu to Davidson wpadł we wściekłość przerażony tą straszną wytrwałością; zwaliwszy Selvera na ziemię ciosem z boku ruszył do przodu z uniesioną obutą nogą, aby zmiażdżyć mu czaszkę. Jeszcze kiedy posuwał się naprzód, Ljubow wpadł w krąg. Przerwał walkę (bo żądza krwi, jaką pałało dziesięciu czy dwunastu patrzących mężczyzn, była już zaspokojona, toteż poparli Ljubowa, kiedy kazał Da-vidsonowi zabrać ręce); i odtąd nienawidził Davidsona z wzajemnością, wszedł bowiem między zabójcę i jego śmierć.

Bo jeśli to my, cała reszta, giniemy przez samobójstwo, to morderca zabija samego siebie; tylko że on musi to robić ciągle od nowa.

Ljubow podniósł Selvera, niewiele ważącego w jego ramionach. Zmasakrowana twarz przylgnęła do jego koszuli tak, że krew przesiąknęła aż do skóry. Zabrał Selvera do własnego domku, wziął w łubki jego złamany nadgarstek, zrobił, co mógł z jego twarzą, trzymał go we własnym łóżku, noc w noc próbował do niego mówić, dotrzeć do niego w pustce jego bólu i wstydu. Było to, oczywiście, wbrew

przepisom.

Nikt mu nie wspominał o przepisach. Nie musieli. Wiedział, że tracił większość życzliwości, jaką kiedykolwiek darzyli go oficerowie kolonii.

Pilnował się, aby trzymać się po właściwej stronie Dowództwa, protestując tylko przeciw ekstremalnym przejawom brutalności względem tubylców, stosując perswazję, nie buntując się i zachowując tę odrobinę władzy i wpływów, jakie miał. Nie mógł zapobiec wyzyskowi Athshean. Był on o wiele gorszy, niż spodziewał się po odbyciu szkolenia, ale niewiele mógł uczynić tu i teraz. Jego raporty dla Administracji i Komitetu Praw mogły — po pięćdziesięcioczteroletniej podróży w obie strony — odnieść jakiś skutek; Ziemia mogła nawet zdecydować, że polityka Otwartej Kolonii dla Athshe była poważnym błędem. Lepiej o pięćdziesiąt cztery lata za późno niż wcale. Gdyby stracił tolerancję przełożonych na miejscu, cenzurowaliby lub unieważniali jego raporty i w ogóle nie byłoby już nadziei.

Lecz teraz był zbyt rozgniewany, aby podtrzymywać tę strategię. Do diabła z innymi, jeśli nadal uznają jego troskę o przyjaciela jako obrazę Matki Ziemi i zdradę interesów kolonii. O ile zaszufladkują go jako „miłośnika stworzą-tek", jego użyteczność dla Athshean zmniejszy się; ale nie potrafił przedkładać możliwego ogólnego dobra nad naglącą potrzebę Selvera. Nie można uratować narodu sprzedając przyjaciela. Davidson, dziwnie rozwścieczony drobnymi obrażeniami zadanymi mu przez Selvera oraz wtrąceniem się Ljubowa, rozprawiał, że wykończy to zbuntowane stworzątko; z pewnością zrobiłby to, gdyby nadarzyła mu się okazja. Ljubow był z Selverem dzień i noc przez dwa tygodnie, a potem zabrał go z Centralu i poleciał z nim do miasta na zachodnim wybrzeżu, Broteru, gdzie Selver miał krewnych.

Nie było kary za pomoc niewolnikom w ucieczce, ponieważ Athsheanie wcale nie byli niewolnikami; stanowili Ochotniczy Autochtoniczny Personel Robotniczy. Ljubowowi nie udzielono nawet nagany. Lecz zawodowi oficerowie od tego czasu nie wierzyli mu całkowicie zamiast częściowo; a nawet jego koledzy ze służb specjalnych, egzobiolog, koordynatorzy agro i leśnictwa, ekolodzy, na różne sposoby dawali mu odczuć, że postąpił irracjonalnie, donkiszotersko lub głupio.

— Myślałeś, że przyjeżdżasz na piknik? — chciał wiedzieć Gosse.

— Nie. Nie myślałem, że będzie to jakiś cholerny piknik — odparł Ljubow ponuro.

— Nie rozumiem, dlaczego jakikolwiek konsultant z własnej woli wiąże się z Otwartą Kolonią. Wiesz, że naród, który badasz, zostanie prawdopodobnie zniszczony i pogrzebany. Taki jest bieg rzeczy. To natura ludzka i musisz wiedzieć, że tego nie zmienisz. Więc po co

przyjeżdżać i oglądać to wszystko? Masochizm?

— Nie wiem, co jest „naturą ludzką”. Może zostawianie opisów tego, co niszczymy, jest częścią natury ludzkiej. Czy naprawdę jest to znacznie przyjemniejsze dla ekologa?

Gosse zignorował to.

— Dobrze więc, rób te swoje opisy. Ale trzymaj się z daleka od jatek. Przecież biolog badający kolonię szczurów nie zaczyna ratować swoich ulubionych szczurów, które są atakowane.

Ljubow wybuchnął. Było tego już zbyt wiele.

— Nie, oczywiście, że nie — odparł. — Szczur może być ulubieńcem, ale nie przyjacielem.

To uraziło biednego starego Gosse'a, który chciał być dla Ljubowa postacią ojcowską, i nikomu nie przyniosło pożytku. A jednak to prawda. A prawda cię wyzwoli…

Lubię Selvera, szanuję go, uratowałem go, cierpiałem z nim, boję się go. Selver jest moim przyjacielem.

Selver jest bogiem.

Tak powiedziała mała starucha, jak gdyby wszyscy to wiedzieli, tak po prostu, jak mogłaby powiedzieć, że Taki-to-a-taki jest myśliwym. „Selver sha'ab”. Ale co znaczy „sha'ab”? Wiele słów Języka Kobiet, codziennej mowy Athshean, pochodziło z Języka Mężczyzn, który we wszystkich społecznościach był taki sam, a słowa te były nie tylko dwusylabowe, ale i dwustronne. Były monetami, miały rewers i awers. „Sha'ab” oznaczało boga lub święty byt, lub istotę obdarzoną mocą; znaczyło też coś zupełnie innego, ale Ljubow nie pamiętał co. W tym punkcie swych rozmyślań znalazł się w bungalowie i musiał tylko sprawdzić to w słowniku, który ułożył z Selverem przez cztery miesiące wyczerpującej, lecz harmonijnej pracy. Oczywiście: „Sha'ab”, tłumacz.

Było to prawie zbyt idealne, zbyt trafne.

Czy te dwa znaczenia miały coś wspólnego? Często miały, jednak niewystarczająco często, aby stać się regułą. Jeśli bóg jest tłumaczem, to co tłumaczy? Selver rzeczywiście był utalentowanym tłumaczem, ale ten dar ujawnił się tylko przez przypadkowe wprowadzenie do jego świata całkowicie obcego języka. Czy „sha'ab” był tym, który przekładał język snów i filozofii, Język Mężczyzn, na codzienną mowę? Lecz wszyscy Śniący to potrafili. Może więc był tym, który potrafi przenieść do życia na jawie kluczowe doświadczenie wizji: tym, który stanowi niejako połączenie między tymi dwiema rzeczywistościami, uważanymi przez Athshean za równe sobie, czasem snu i czasem świata, którego powiązania, choć zasadnicze, są niejasne. Połączenie: ten, który potrafi głośno nazwać spostrzeżenia podświadomości. „Mówić” tym językiem znaczy działać. Zrobić coś nowego. Zmieniać lub być zmienionym, radykalnie, od korzeni. Bo

korzeń jest snem.

A tłumacz jest bogiem. Selver wprowadził nowe słowo do języka swego ludu. Dokonał nowego czynu. To słowo, ten czyn — morderstwo. Tylko bóg mógł poprowadzić tak wielkiego przybysza jak śmierć przez most między światami.

Ale czy nauczył się zabijać współbraci ze swych własnych snów pełnych przemocy i spustoszenia, czy też z nie śnionych wyczynów Obcych? Czy mówił własnym językiem, czy językiem kapitana Davidsona? To co zdawało się wyrastać z korzeni jego cierpienia i wyrażać jego własne zmienione istnienie, mogło w rzeczywistości być infekcją, obcą zarazą, która nie uczyni nowego narodu z jego ludu, ale go zniszczy.

W naturze Rają Ljubowa nie leżało myślenie: „Co mogę zrobić?" Charakter i szkolenie nie skłaniały go do mieszania się w sprawy innych ludzi. Jego zadaniem było dowiedzieć się, co robią, i zamierzał pozwolić im, aby dalej to robili. Wolał być raczej oświeconym, niż oświecać, poszukiwać faktów, a nie Prawdy. Lecz nawet najbardziej niemisjonarska dusza, chyba że udaje, iż nie posiada emocji, staje czasem przed wyborem między dopuszczeniem a opuszczeniem. „Co oni robią?" staje się nagle „Co my robimy?", a potem „Co ja muszę zrobić?"

Rozumiał, że teraz osiągnął taki moment wyboru, a jednak nie całkiem wiedział, dlaczego ani jaką miał alternatywę.

Nie mógł w tym momencie uczynić nic więcej w celu zwiększenia szans Athshean na przeżycie; Lepennon, Or i ansibl zrobili więcej, niż miał nadzieję zobaczyć w ciągu całego życia. Administracja na Ziemi wypowiadała się jasno w każdym komunikacie przesłanym przez ansibla. a pułkownik Dongh, choć znajdował się pod presją niektórych osób ze sztabu i szefów drwali, aby ignorować dyrektywy, wypełniał jednak rozkazy. Był lojalnym oficerem; a poza tym Shackleton miał wrócić na obserwację i zdać raport o sposobie wykonywania poleceń. Teraz raporty do domu coś znaczyły, kiedy Ów ansibl, ta machina ex machina, zapobiegał całej wygodnej starej autonomii kolonii i czynił ludzi odpowiedzialnymi za swe czyny jeszcze za ich życia. Nie było już pięćdziesięcioczteroletniego marginesu błędu. Polityka już nie była statyczna. Decyzja podjęta przez Ligę Światów mogła teraz doprowadzić z dnia na dzień do ograniczenia kolonii do jednego Lądu lub do zakazu wyrębu drzew, lub do poparcia zabijania tubylców — nie wiadomo. Jak Liga działała i jaką politykę prowadziła, nie można było jeszcze odgadnąć z suchych dyrektyw Administracji. Dongh martwił się tą przyszłością z wielokrotnego wyboru, ale Ljubow się cieszył. W różnorodności życie, a gdzie jest życie, tam jest nadzieja — to było ogólne podsumowanie jego credo, dość skromnego, trzeba przyznać.

Koloniści zostawiali Athshean w spokoju, a oni zostawiali w spokoju kolonistów. Zdrowa sytuacja, której nie należy niepotrzebnie naruszać. Mógł ją zakłócić jedynie strach.

W tym momencie można było spodziewać się po Athsheanach raczej podejrzliwości i urazy, ale nie strachu. Jeśli chodzi o panikę, jaka ogarnęła Central na wiadomość o masakrze o Obozie Smitha, nic się nie wydarzyło, co by mogło rozniecić ją na nowo. Żaden Athsheanin nigdzie od tego czasu nie użył przemocy; a po rozpuszczeniu niewolników wszystkie stworzątka zniknęły w swoim lesie i nie było już stałej drażniącej ksenofobii. Koloniści zaczynali wreszcie się odprężać.

Gdyby Ljubow zameldował, że widział Selvera w Tuntarze, Dongh i inni mogliby się zaniepokoić. Mogliby nalegać, aby podjąć wysiłki w celu schwytania Selvera i sprowadzenia go na proces. Kodeks Kolonialny zabraniał ścigania członka jednego społeczeństwa planetarnego przez prawo drugiego, ale Sąd Wojenny pomijał takie rozróżnienia. Mogli sądzić, skazać i rozstrzelać Selvera. Z Davidsonem jako świadkiem sprowadzonym z Nowej Jawy. O, nie, pomyślał Ljubow wpychając słownik na przeładowaną półkę. O, nie — i więcej o tym nie myślał. Tak więc dokonał wyboru nawet o tym nie wiedząc.

Następnego dnia złożył krótki meldunek. Pisał w nim, że Tuntar jak zwykle zajmował się swoimi sprawami i że nie zabroniono mu wstępu ani mu nie grożono. Był to uspokajający i najbardziej rozmijający się z prawdą meldunek, jaki Ljubow kiedykolwiek napisał. Pomijał wszystko, co miało jakieś znaczenie: nieobecność przywódczyni, odmowę Tubaba powitania Ljubowa, dużą liczbę obcych w mieście, wyraz twarzy Młodej Myśliwej, obecność Selvera… Oczywiście to ostatnie było świadomym pominięciem, ale Ljubow sądził, że poza tym meldunek jest zupełnie zgodny z faktami; opuścił zaledwie subiektywne wrażenia, jak przystało uczonemu. Miał ciężką migrenę pisząc meldunek i jeszcze cięższą po oddaniu go.

Dużo śnił tej nocy, ale rano nic nie pamiętał. Drugiej nocy po wizycie w Tuntarze obudził się późno i pośród histerycznego wycia syreny alarmowej i huku eksplozji stanął w końcu twarzą w twarz z tym, co odrzucił. Był jedynym człowiekiem w Centralu, dla którego nie było to zaskoczeniem. W tej chwili wiedział, kim jest: zdrajcą.

Ale nawet teraz nie było dla niego zupełnie jasne, że jest to atak Athshean. Była to groza w nocy.

Jego własną chatę stojącą na podwórku z dala od innych domów zignorowano; może drzewa rosnące wokół niej ochroniły ją, pomyślał wybiegając. Całe centrum miasta płonęło. Nawet kamienny sześcian Dowództwa palił się od środka jak zepsuty piec do wypalania. Był tam ansibl: to cenne połączenie. Ognie były także widoczne w kierunku portu helikopterowego i lotniska. Skąd wzięli materiały wybuchowe?

Jakim sposobem zapłonęły wszystkie ognie naraz? Paliły się wszystkie budynki wzdłuż głównej ulicy, zbudowane z drewna, huk pożaru był straszny. Ljubow pobiegł w kierunku ognia. Woda zalała drogę; pomyślał najpierw, że to z węża strażackiego, a potem zdał sobie sprawę, że to główny nurt rzeki Menend płynie bezużytecznie po ziemi, podczas gdy domy płoną z tym ohydnym ssącym hukiem. Jak oni to zrobili? Były straże, zawsze były straże w jeepach na lotnisku… Strzały: seria, terkotanie karabinu maszynowego. Wszędzie naokoło Ljubowa biegały małe figurki, ale on pędził wśród nich niewiele o nich myśląc. Był teraz obok zajazdu i zobaczył dziewczynę stojącą w wejściu. Ogień drgał za jej plecami, a przed sobą miała wolną drogę ucieczki. Nie ruszała się z miejsca. Krzyknął do niej, a potem przebiegł przez podwórze i siłą oderwał jej ręce od framugi, do której przylgnęła w panice; odciągnął ją i mówił łagodnie: „Chodź, kochanie, chodź”. Ruszyła, ale nie dość szybko. Kiedy przechodzili przez podwórze, front górnego piętra, płonąc od środka, zwalił się do przodu pod naciskiem belek rozpadającego się dachu. Gonty i krokwie strzeliły jak odłamki pocisku; płonący koniec krokwi uderzył Ljubowa, który padł z rozrzuconymi rękami. Leżał twarzą do dołu w oświetlonym przez ogień jeziorze błota. Nie widział, jak mała łowczyni o zielonym futrze rzuciła się na dziewczynę, przewróciła ją i poderżnęła jej gardło. Niczego nie widział.

6.

Tej nocy nie śpiewano żadnych pieśni. Były tylko krzyki i cisza. Kiedy płonęły latające statki, Selver radował się i łzy napłynęły mu do oczu, ale żadne słowa nie pojawiły się na jego ustach. Odwrócił się w milczeniu z miotaczem ognia ciążącym mu w rękach, aby poprowadzić swą grupę z powrotem do miasta.

Każdą grupę ludzi z Zachodu i Północy prowadził były niewolnik jak on, niewolnik, który służył jumenom w Centralu i znał budynki oraz miasto.

Większość ludzi, którzy ruszyli tej nocy do ataku, nigdy nie widziała miasta jumenów; wielu z nich nigdy nie widziało jumena. Przybyli, ponieważ szli za Selverem, ponieważ prześladował ich zły sen i tylko Selver mógł ich nauczyć, jak go opanować. Były tam ich setki i setki, mężczyźni i kobiety, czekali w kompletnej ciszy w deszczowej ciemności wokół całego miasta, podczas gdy byli niewolnicy, po dwóch, po trzech, robili to, co uznali, że trzeba zrobić najpierw: przerwali wodociąg, przecięli druty niosące światło ze Stacji Generatorów, włamali się i obrabowali Arsenał. Pierwsza śmierć, śmierć strażników, była cicha, spowodowana bronią myśliwską, pętlą, nożem, strzałą, bardzo szybko, w ciemności. Dynamit, ukradziony wcześniej w nocy z obozu drwali dziesięć mil na południe, przygotowano w Arsenale, piwnicy Budynku Dowództwa, podczas gdy w innych miejscach podłożono ogień; a potem włączył się alarm, zapłonęły ognie i zarówno cisza, jak i noc uciekły. Większość strzałów przypominających grzmoty lub trzask padającego drzewa pochodziła od jumenów, ponieważ tylko byli niewolnicy zabrali broń z Arsenału i używali jej; cała reszta trzymała się włóczni, noży i łuków. Ale to właśnie dynamit, podłożony i zapalony przez Reswana i innych, którzy pracowali w zagrodzie dla niewolników u drwali, spowodował hałas, który przewyższył wszystkie inne i wysadził ściany Budynku Dowództwa oraz zniszczył hangary i statki.

Tej nocy w mieście było około tysiąca siedmiuset jumenów, z tego ponad pięćset kobiet; podobno wszystkie kobiety jumenów tam były i dlatego Selver i inni zdecydowali się działać, choć nie wszyscy ludzie, którzy chcieli przyjść, już się zebrali. Na spotkanie w Endtorze przyszło przez lasy około czterech do pięciu tysięcy mężczyzn i kobiet, a stamtąd ruszyli na to miejsce, na tę noc.

Ogień palił się ogromnymi płomieniami, a zapach spalenizny i rzezi był wstrętny.

Selver miał suche usta i podrażnione gardło, tak że nie mógł mówić i marzył o napiciu się wody. Kiedy prowadził swoją grupę środkową ścieżką miasta, pojawił się jakiś jumen biegnący w jego

kierunku, majacząc jak ogromny cień w ciemności zadymionego powietrza. Selver uniósł miotacz ognia i pociągnął za spust w chwili, kiedy jumen pośliznął się na błocie i upadł niezgrabnie na kolana. Z przyrządu nie wytrysnął syczący strumień ognia, cały został zużyty do spalenia statków, które nie stały w hangarze. Selver upuścił ciężki miotacz. Jumen nie miał broni i był mężczyzną. Selver spróbował powiedzieć: „Pozwólcie mu uciec", ale głos miał słaby i kiedy jeszcze mówił, dwóch mężczyzn, myśliwych z Polan Abiam, wyminęło go skokiem trzymając w górze długie noże. Duże, nagie ręce chwyciły powietrze i opadły bezwładnie. Wielkie ciało leżało zwinięte w kłąb na ścieżce. Wielu innych leżało martwych tu, gdzie kiedyś było centrum miasta. Nie było już więcej hałasu z wyjątkiem syku płomieni.

Selver otworzył usta i wysłał schrypniętym głosem sygnał powrotu zazwyczaj kończący polowanie; ci, którzy byli z nim, podjęli go czyściej i głośniej donośnym falsetem; odpowiedziały mu inne głosy, z bliska i z daleka we mgle, dymie i rozjaśnionej płomieniami ciemności nocy. Zamiast wyprowadzić swą grupę od razu z miasta, gestem nakazał ludziom iść dalej, a sam odszedł w bok, na błotnistą ziemię pomiędzy ścieżką a budynkiem, który spłonął i zawalił się. Przeszedł nad martwą kobietą jumenów i pochylił się nad kimś przygniecionym wielką, zwęgloną, drewnianą belką. Nie widział rysów twarzy zatartych błotem i ciemnością.

To nie było sprawiedliwe; to nie było konieczne; nie musiał patrzeć na tego jednego pośród tylu martwych. Nie musiał rozpoznać go w ciemności. Ruszył za swoją grupą. A potem zawrócił; z wysiłkiem zdjął belkę z pleców Ljubowa; ukląkł wsuwając jedną rękę pod ciężką głowę, aż wydawało się, że Ljubowowi jest lżej leżeć z twarzą nie na ziemi; i tak klęczał bez ruchu.

Nie spał od czterech dni i nie miał spokoju, aby śnić, od jeszcze dłuższego czasu — nie wiedział, od jak dawna. Działał, mówił, podróżował, planował dzień i noc od czasu, kiedy opuścił Broter z tymi, którzy z nim przyszli z Cadastu. Szedł z miasta do miasta mówiąc do ludzi lasu, mówiąc im o nowej sprawie, budząc ich ze snu do świata, organizując to, co zostało dokonane tej nocy, mówiąc, ciągle mówiąc i słuchając, jak mówią inni, nigdy w ciszy i nigdy nie sam. Słuchali, usłuchali go i przyszli za nim, weszli na nową ścieżkę. We własne ręce wzięli ogień, którego się bali: objęli kontrolę nad złym snem: i wypuścili na wroga śmierć, której się bali. Wszystko zostało zrobione tak, jak powiedział, że powinno być zrobione. Wszystko poszło tak, jak powiedział, że pójdzie. Szałasy i wiele domostw jumenów zostało spalonych, ich statki spalone lub zniszczone, ich broń ukradziona lub zniszczona, a ich kobiety były martwe. Ognie wypalały się, noc stawała się bardzo ciemna, skalana dymem. Selver

ledwo widział; spojrzał na wschód zastanawiając się, czy nadchodzi już świt. Klęcząc tak w błocie wśród trupów pomyślał: „To jest teraz sen, zły sen. Myślałem, że ja będę nad nim panował, a to on panuje nade mną".

We śnie usta Ljubowa poruszyły się, lekko dotykając jego własnej dłoni; Selver spojrzał w dół i zobaczył, jak oczy martwego człowieka otwierają się. Na ich powierzchni świeciły płomienie dogasających ogni. Po chwili wypowiedział imię Selvera.

— Ljubow, dlaczego tu zostałeś? Mówiłem ci, żebyś tej nocy był poza miastem. — Tak powiedział Selver we śnie, ostro, jak gdyby był zły na Ljubowa.

— Jesteś więźniem? — rzekł Ljubow słabo, nie podnosząc głowy, ale tak zwykłym głosem, iż Selver przez chwilę wiedział, że nie jest to czas snu, ale czas świata, noc lasu. — Czy może ja?

— Żaden z nas, obaj, skąd mam wiedzieć? Wszystkie silniki i maszyny są spalone. Wszystkie kobiety są martwe. Pozwoliliśmy uciekać mężczyznom, jeśli chcieli. Powiedziałem, żeby nie podpalali twego domu, książkom nic się nie stanie. Ljubow, dlaczego nie jesteś jak inni?

— Jestem taki, jak oni. Człowiek. Jak oni. Jak ty.

— Nie. Ty jesteś inny…

— Jestem taki jak oni. I ty też. Słuchaj, Selver. Nie idź dalej. Nie możesz więcej zabijać ludzi. Musisz wrócić… do twego własnego… do swoich korzeni.

— Kiedy twoich ludzi nie będzie, skończy sic zły sen.

— Teraz — rzekł Ljubow próbując unieść głowę, ale miał złamany kręgosłup. Spojrzał w górę na Selvera i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Odwrócił wzrok i spojrzał w inny czas, a jego usta zostały rozchylone, milczące. Oddech świszczał mu lekko w gardle.

Wołali imię Selvera, wiele głosów z daleka, wołali i wołali.

— Nie mogę zostać z tobą, Ljubow! — rzekł Selver we łzach i kiedy nie otrzymał odpowiedzi, wstał i spróbował odbiec. Lecz w ciemności snu mógł iść jedynie bardzo powoli, jak gdyby szedł przez głęboką wodę. Przed nim szedł Duch Jesionu, wyższy niż Ljubow lub jakikolwiek jumen, wysoki jak drzewo, nie odwracając do niego swej białej maski. Kiedy Selver odchodził, przemówił do Ljubowa:

— Wrócimy — rzekł. — Wrócę. Teraz. Wrócimy, teraz, obiecuję ci, Ljubow!

Lecz jego przyjaciel, ten łagodny człowiek, który uratował mu życie i zdradził jego sen, Ljubow, nie odpowiedział. Szedł gdzieś w nocy obok Selvera, niewidomy i cichy jak śmierć.

Grupa ludzi z Tuntaru natknęła się na Selvera błąkającego się w ciemności, szlochającego i coś mówiącego, opanowanego przez sen; zabrali go z sobą wracając szybko do Endtoru.

Tam w prowizorycznym Szałasie, namiocie na brzegu rzeki leżał bezradny i majaczący dwa dni i dwie noce, podczas gdy Starzy Mężczyźni pielęgnowali go. Przez cały ten czas ludzie przychodzili do Endtoru i odchodzili z niego, wracając do Miejsca Eshsen, które poprzednio nazywano Centralem, chowając tam swoich zmarłych i zmarłych obcych; swoich ponad trzystu, tych innych ponad siedmiuset. Około pięciuset jumenów było zamkniętych w zagrodach dla stworzątek, które, puste i na uboczu, nie zostały spalone. Tyluż uciekło, z czego część dotarła do obozów drwali położonych dalej na południe, które nie zostały zaatakowane; na tych, którzy jeszcze się ukrywali i wędrowali po lesie lub Wyciętych Ziemiach, urządzano polowania. Niektórych zabito, bo wielu Młodych Myśliwych ciągle słyszało tylko głos Selvera mówiący: „Zabić ich". Inni pozostawiali za sobą noc rzezi, jakby to był koszmar, zły sen, który trzeba zrozumieć, aby się nie powtórzył; i ci, spotkawszy spragnionego, wycieńczonego jumena kulącego się w gąszczu, nie mogli go zabić. Więc może on zabijał ich. Były grupy dziesięciu i dwudziestu jumenów, uzbrojone w siekiery drwali i broń ręczną, choć niewielu miało jeszcze amunicję; te grupy tropiono, aż w lesie wokół nich ukryło się wystarczająco wielu ludzi, jumenów wtedy atakowano, wiązano i prowadzono z powrotem do Eshsen. Schwytano wszystkich w dwa lub trzy dni, ponieważ cała ta część Sornolu roiła się od ludzi lasu; żaden człowiek nie pamiętał połowy dziesiątej części tak wielkiego zgromadzenia ludzi w jednym miejscu, a niektórzy ciągle nadchodzili z odległych miast i innych Lądów, inni już wracali do domu. Schwytanych jumenów umieszczano wśród innych w obozie, choć był już zatłoczony, a chaty były za małe dla jumenów. Dawano im wodę, karmiono dwa razy dziennie i cały czas pilnowało ich parę setek uzbrojonych myśliwych.

Wczesnym wieczorem po Nocy Eshsen nadleciał z łoskotem ze wschodu statek powietrzny i zniżył się jakby do lądowania, ale potem wystrzelił w górę jak drapieżny ptak, który chybił celu, i okrążył zniszczone lądowisko, tlące się miasto i Wycięte Ziemie. Reswan zadbał o to, aby zniszczono urządzenia radiowe i może właśnie ich milczenie sprowadziło statek z Kushilu lub z Rieshwelu, gdzie znajdowały się trzy małe miasta jumenów. Więźniowie w obozie wybiegli z baraków i krzyczeli do statku, ile razy przelatywał z hałasem nad ich głowami i raz zrzucił on do obozu jakiś przedmiot na spadochronie; w końcu z hałasem odleciał w niebo.

Na Athshe zostały teraz cztery takie uskrzydlone statki, trzy na Kushilu i jeden na Rieshwel, wszystkie małego typu mieszczące po czterech ludzi; mogły także przewozić karabiny maszynowe i miotacze ognia i bardzo ciążyły na umyśle Reswana i innych, podczas gdy Selver leżał stracony dla nich wędrując po tajemnych ścieżkach innego czasu.

Zbudził się dla czasu świata trzeciego dnia, wychudzony, oszołomiony, głodny, milczący. Po kąpieli w rzece i posiłku wysłuchał Reswana i przywódczyni z Berre oraz innych wybranych na przywódców. Powiedzieli mu, jak toczył się świat, kiedy on śnił. Gdy ich wszystkich wysłuchał, rozejrzał się po nich i zobaczyli w nim boga. W fali obrzydzenia i strachu, jaka ogarnęła ich po Nocy Eshsen, niektórzy zaczęli wątpić. Ich sny były niepokojące i pełne krwi i ognia; cały dzień byli otoczeni obcymi, ludźmi przybyłymi ze wszystkich lasów, setkami ich, tysiącami, zebranymi tutaj jak sępy nad ścierwem, nie znającymi się między sobą: i wydawało się im, że nadszedł już koniec i że nic już nie będzie takie samo albo właściwe. Lecz w obecności Selvera przypomnieli sobie cel; ich cierpienie zostało ukojone i czekali, aż on przemówi.

— Zabijanie już się dokonało — rzekł. — Sprawdźcie, czy wszyscy o tym wiedzą. — Spojrzał po nich. — Muszę porozmawiać z tymi w obozie. Kto im tam przewodzi?

— Indyk, Płaskostopy i Wilgotnooki — odpowiedział Reswan, były niewolnik.

— Indyk żyje? Dobrze. Pomóż mi wstać, Gredo, mam węgorze zamiast kości…

Kiedy postał chwilę, nabrał sił i w ciągu godziny wyruszył do Eshsen, znajdującego się o dwie godziny drogi od Endtoru.

Kiedy dotarli na miejsce, Reswan wspiął się na drabinę opartą o ścianę obozu i wrzasnął w łamanym angielskim, którego uczono niewolników:

— Donga przyjść do brama, szybko-szybko!

W dole, w uliczkach pomiędzy przysadzistymi cementowymi barakami kilku jumenów krzyknęło i rzuciło w niego grudkami ziemi. Reswan uchylił się i czekał.

Stary pułkownik nie pojawił się, ale z chaty wyszedł utykając Gosse, którego nazywali Wilgotnookim, i krzyknął do Reswana:

— Pułkownik Dongh jest chory, nie może wyjść.

— Chory, jaka choroba?

— Jelita, choroba wodna. Czego chcesz?

— Mówić-mówić. Mój panie boże — rzekł Reswan we własnym języku patrząc w dół na Selvera — Indyk chowa się, czy chcesz rozmawiać z Wilgotnookim?

— Dobrze.

— Uważajcie na tę bramę, łucznicy! — Do brama, pan Goss-a, szybko-szybko!

Brama została otworzona tylko na taką szerokość i na tak długo, aby Gosse mógł się przecisnąć na zewnątrz. Stał przed nią sam, zwrócony do grupy Selvera. Utykał na jedną nogę zranioną podczas Nocy Eshsen. Miał na sobie piżamę, zabłoconą i przesiąkniętą

deszczem. Jego siwiejące włosy wisiały w rzadkich kosmykach wokół uszu i nad czołem. Dwukrotnie wyższy od zwycięzców, trzymał się bardzo sztywno i patrzył na nich z odwagą i gniewnym cierpieniem.

— Czego chcecie?

— Musimy porozmawiać, panie Gosse — rzekł Server, który nauczył się normalnego angielskiego od Ljubowa. — Jestem Selver od Drzewa Jesionu z Eshreth. Jestem przyjacielem Ljubowa.

— Tak, znam cię. Co masz do powiedzenia?

— Mam do powiedzenia to, że zabijanie się skończyło, jeśli takiej obietnicy dotrzymają twoi ludzie i moi ludzie. Wszyscy możecie iść wolno, jeśli zabierzecie waszych ludzi z obozów drwali w Południowym Sornolu, Kushilu i Rieshwelu i zostaniecie tu wszyscy razem. Możecie mieszkać tu, gdzie las jest martwy, gdzie hodujecie wasze nasienne trawy. Nie może być więcej żadnego ścinania drzew.

Twarz Gosse'ego ożywiła się.

— Obozy nie zostały zaatakowane?

— Nie.

Gosse nic nie powiedział.

Selver obserwował jego twarz i po chwili odezwał się znowu:

— Na świecie jest chyba mniej niż dwa tysiące twoich ludzi pozostałych przy życiu. Wszystkie wasze kobiety nie żyją. W innych obozach ciągle jeszcze jest broń; moglibyście zabić wielu z nas. Ale my mamy trochę waszej broni. I jest nas więcej, niż moglibyście zabić. Myślę, że właśnie dlatego nie próbowaliście wysłać latających statków po miotacze ognia, zabić strażników i uciec. To by wam nic nie dało; nas naprawdę jest dużo. Jeśli dacie nam obietnicę, tak będzie najlepiej, a potem możecie czekać bezpiecznie, aż przybędzie jeden z waszych Wielkich Statków i będziecie mogli opuścić świat. Myślę, że to nastąpi za trzy lata.

— Tak, trzy miejscowe lata… Skąd to wiesz?

— No cóż, niewolnicy mają uszy, panie Gosse.

Gosse w końcu spojrzał prosto na niego. Odwrócił wzrok, poruszył się niespokojnie, spróbował ulżyć nodze. Spojrzał znowu na Selvera i odwrócił wzrok.

— Już obiecaliśmy nie skrzywdzić żadnego z twoich ludzi. Dlatego odesłaliśmy robotników do domu. Nie zdało się to na nic, nie posłuchaliście…

— Nie była to obietnica dana nam.

— Jak możemy zawrzeć jakąkolwiek umowę czy traktat z ludem, który nie ma rządu, żadnej władzy centralnej?

— Nie wiem. Nie jestem pewien, czy wiesz, co to jest obietnica. Ta została szybko złamana.

— Co masz na myśli? Przez kogo, jak?

— Na Rieshwelu, Nowa Jawa. Czternaście dni temu. Spalono

miasto, a jego ludzie zostali zabici przez jumenów z Obozu na Rieshwelu.

— O czym ty mówisz?

— O tym, co powiedzieli wysłannicy z Rieshwelu.

— To kłamstwo. Byliśmy w kontakcie radiowym z Nową Jawą cały czas, aż do masakry. Nikt nie zabijał tubylców ani tam, ani nigdzie indziej.

— Mówisz prawdę, która ty znasz — rzekł Selver — a ja prawdę, którą ja znam. Przyjmuję twoją nieświadomość zabójstw na Rieshwelu; ale ty musisz przyjąć moje stwierdzenie, że ich dokonano. Pozostaje to: obietnica musi być dana nam i musi być dotrzymana. Będziesz chciał porozmawiać o tych sprawach z pułkownikiem Donghem i innymi.

Gosse uczynił ruch, jakby chciał wejść w bramę, ale odwrócił się i rzekł swym głębokim, zachrypniętym głosem:

— Kim jesteś, Selver? Czy — czy to ty zorganizowałeś atak? Czy to ty ich poprowadziłeś?

— Tak, ja.

— A więc ta cała krew spada na twoją głowę — powiedział Gosse z nagłą gwałtownością. — I Ljubowa też. On nie żyje — twój „przyjaciel Ljubow".

Selver nie zrozumiał tego powiedzenia. Nauczył się morderstwa, ale o winie niewiele wiedział poza jej nazwą.

Kiedy przez chwilę jego wzrok zetknął się z bladym, niechętnym spojrzeniem Gosse'a, poczuł obawę. Poczuł falę mdłości, śmiertelny chłód. Próbował go oddalić od siebie zamykając na chwilę oczy. W końcu powiedział:

— Ljubow jest moim przyjacielem, a więc nie umarł.

— Jesteście dziećmi — rzekł Gosse z nienawiścią. — Dzieci, dzicy. Nie macie pojęcia o rzeczywistości. To nie sen, to rzeczywistość! Zabiliście Ljubowa. On nie żyje. Zabiliście kobiety — kobiety — spaliliście je żywcem, zabiliście je jak zwierzęta!

— Czy powinniśmy byli pozwolić im żyć? — odparł Selver z gwałtownością taką samą jak Gosse, ale cicho, lekko śpiewnym głosem. — Żeby mnożyły się jak owady. Żeby nas zalały? Zabiliśmy je, aby was wysterylizować. Wiem, kto to jest realista, panie Gosse. Ljubow i ja rozmawialiśmy o tych słowach. Realista to człowiek, który zna zarówno świat, jak i swoje własne sny. Wy nie jesteście normalni: wśród tysiąca waszych nie ma jednego człowieka, który wiedziałby, jak śnić. Nawet Ljubow nie wiedział, a był najlepszy z was. Śpicie, budzicie się i zapominacie o swoich snach, śpicie znowu i znowu się budzicie i tak spędzacie całe życie i myślicie, że to jest byt, życie, rzeczywistość! Nie jesteście dziećmi, jesteście dorosłymi ludźmi, ale nienormalnymi. I dlatego musieliśmy was zabić, zanim

doprowadzilibyście nas do szaleństwa. A teraz wracaj i porozmawiaj o rzeczywistości z innymi nienormalnymi ludźmi. Rozmawiajcie długo i dobrze!

Strażnicy otworzyli bramę grożąc włóczniami tłoczącym się wewnątrz jumenom: Gosse wszedł do obozu. Duże ramiona zgarbił jak przed deszczem.

Selver był bardzo zmęczony. Przywódczyni z Berre i jesz-c/e jedna kobieta zbliżyły się do niego i szły z nim, a on oparł się na ich barkach, tak że w razie potknięcia nie upadłby. Młody My«!iwy Greda, kuzyn od jego Drzewa, żartował z nim, a Selver odpowiadał z lekkim sercem, śmiejąc się. Droga powrotna od Endtoru zdawała się trwać całe dni.

Był zbyt zmęczony, aby jeść. Wypił trochę gorącego rosołu i położył się przy Ognisku Mężczyzn. Endtor nie było miastem, lecz zaledwie obozem nad wielką rzeką, ulubionym miejscem połowu ryb dla wszystkich miast, które kiedyś znajdowały się w okolicznym lesie, zanim przyszli jumeni. Nie było tu Szałasu. Dwa kręgi z czarnego kamienia na ognisko i długa trawiasta skarpa, gdzie można było ustawić namioty ze skóry i plecionego sitowia, to cały Endtor. Rzeka Mened, główna rzeka Sornolu, mówiła w Endtorze nieustannie w świecie i we śnie.

Przy ogniu było wielu mężczyzn, których znał z Broteru, Tuntaru i z własnego zniszczonego miasta Eshreth. Niektórych nie znał; widział po ich oczach i gestach i słyszał w ich głosach, że byli Wielkimi Śniącymi; być może było tu więcej Śniących niż kiedykolwiek zebrało się w jednym miejscu. Leżąc wyprostowany na całą długość z głową opartą na rękach, wpatrzony w ogień, rzekł:

— Nazwałem jumenów szalonymi. Czy ja sam jestem szalony?

— Nie odróżniasz jednego czasu od drugiego — rzekł stary Tubab, kładąc w ogień sosnowy sęk — ponieważ o wiele za długo nie śniłeś ani we śnie, ani na jawie. Cenę tego trzeba długo spłacać.

— Trucizny, jakie zażywają jumeni, mają taki sam efekt jak brak snu i śnienia — odezwał się Heben, który był niewolnikiem w Centralu i Obozie Smitha. — Jumeni zatruwają się, aby śnić. Kiedy zażywają truciznę, widziałem na ich twarzach wyraz właściwy Śniącym. Ale nie potrafili przywołać snów ani ich kontrolować, ani tkać, ani kształtować, ani przestać śnić; byli pod wpływem, ulegli. Zupełnie nie wiedzieli, co było w nich, w środku. Tak też się dzieje z człowiekiem, który nie śnił przez wiele dni. Chociaż byłby najmędrszy ze swego Szałasu, będzie szalony, teraz i potem, tu i tam, jeszcze przez długi czas. Będzie pod wpływem, zniewolony. Nie będzie rozumiał siebie samego. Bardzo stary człowiek z akcentem z Południowego Sornolu położył pieszczotliwie rękę na ramieniu Selvera, pieszcząc go i rzekł:

— Mój drogi młody boże, potrzebujesz śpiewu, to dobrze ci zrobi.

— Nie potrafię. Śpiewaj za mnie.

Stary człowiek zaśpiewał; dołączyli inni, głosami wysokimi i ostrymi, prawie bez melodii, jak wiatr wiejący w szuwarach Endtor. Śpiewali jedną z pieśni o Jesionie, o delikatnych rozdzielonych liściach, które żółkną w jesieni, kiedy jagody czerwienieją, a pewnej nocy posrebrza je pierwszy mróz.

Kiedy Selver słuchał pieśni Jesionu, obok niego położył się Ljubow. Leżąc nie wydawał się tak potwornie wysoki, a jego kończyny tak duże. Za nim był na wpół zawalony, wypalony budynek, czarny na tle gwiazd. „Jestem jak ty", rzekł nie patrząc na Selvera tym sennym głosem, który próbuje odsłonić własną nieprawdę. Serce Selvera było przepełnione smutkiem z powodu przyjaciela. „Boli mnie głowa", przemówił Ljubow swym własnym głosem, pocierając kark jak zawsze, i wtedy Selver wyciągnął rękę, aby go dotknąć, pocieszyć. Ale tamten był cieniem i blaskiem ognia w czasie świata, a starzy mężczyźni śpiewali pieśń Jesionu o małych białych kwiatkach na czarnych gałęziach na wiosnę pomiędzy rozdzielonymi liśćmi.

Następnego dnia jumeni uwięzieni w obozie posłali po Selvera. Przyszedł do Eshsenu po południu i spotkał się z nimi na zewnątrz obozu, pod gałęziami dębu, bo cały lud Selvera czuł się trochę nieswojo pod otwartym niebem. Eshsen był niegdyś dębowym gajem; to drzewo było największe z tych niewielu, które zostawili koloniści. Stało na długim zboczu za bungalowem Ljubowa, jednym z sześciu czy ośmiu budynków, które wyszły z nocy pożarów nie uszkodzone. Z Selverem byli pod dębem Reswan, przywódczyni z Berre, Greda z Cadastu i inni, którzy chcieli być przy rokowaniach, w sumie kilkanaście osób. Wielu łuczników trzymało straż bojąc się, że jumeni mogą mieć ukrytą broń, ale siedzieli za krzakami lub szczątkami pozostałymi z pożaru, aby nie zdominować sceny cieniem groźby. Z Gosse'em i pułkownikiem Donghem było trzech jumenów zwanych oficerami i dwóch z obozu drwali; na widok jednego z nich, Bentona, byli niewolnicy wstrzymali oddech. Benton zwykł karać „leniwe stworzątka" publicznie je kastrując.

Pułkownik był chudy, jego normalnie żółtobrązowa skóra miała odcień błotnistoszary; jego choroba nie była udawana.

— Więc po pierwsze — rzekł, kiedy wszyscy zajęli miejsca, jumeni stojąc, a ludzie Selvera kucając lub siedząc na wilgotnej, miękkiej warstwie ziemi i liści dębowych — po pierwsze chcę najpierw mieć praktyczną definicję, co dokładnie znaczą te wasze warunki i co one znaczą, jeśli chodzi o gwarantowane bezpieczeństwo mojego personelu pod moją tutaj komendą.

Nastała cisza.

— Rozumiecie chyba po angielsku, niektórzy z was?

— Tak. Nie rozumiem pańskiego pytania, panie Dongh.

— Pułkowniku Dongh, jeśli łaska!

— Więc pan będzie mnie nazywał pułkownikiem Selverem, jeśli łaska.

W głosie Selvera pojawiła się śpiewna nuta; podniósł się, gotowy do współzawodnictwa, a w jego myślach melodie płynęły jak rzeki.

Lecz stary jumen po prostu stał, ogromny i ciężki, zły, a jednak nie podejmując wyzwania.

— Nie przyszedłem tu, aby być obrażanym przez was, wy mali humanoidzi — rzekł. Lecz wargi mu drżały, kiedy to mówił. Był stary i oszołomiony, i upokorzony. Całe oczekiwanie tryumfu uszło z Selvera. Już nie było na świecie tryumfu, tylko śmierć. Usiadł ponownie.

— Nie miałem zamiaru obrażać, pułkowniku Dongh — rzekł z rezygnacją. — Czy może pan powtórzyć pytanie?

— Chcę usłyszeć wasze warunki, a potem wy usłyszycie nasze i to wszystko.

Selver powtórzył to, co powiedział przedtem Gosse'emu. Dongh słuchał z wyraźną niecierpliwością.

— Dobra. No więc nie zdajecie sobie sprawy, że od trzech dni mamy w obozie jenieckim działające radio. — Selver wiedział o tym, bo Reswan od razu sprawdził przedmiot zrzucony przez helikopter, czy to nie broń; strażnicy zameldowali, że to radio, i pozwolili jumenom je zatrzymać. Selver tylko skinął głową. — No więc jesteśmy w kontakcie z trzema odległymi obozami, dwoma na Lądzie Królewskim i jednym na Nowej Jawie, tak, i jeśli zdecydowalibyśmy się wyrwać i uciec z tego obozu jenieckiego, to byłoby nam bardzo łatwo to zrobić, ponieważ helikoptery zrzuciłyby nam broń i osłaniały nasze ruchy swoją bronią, jeden miotacz ognia mógłby wydostać nas z obozu, a w razie potrzeby mają też bomby, które mogą wysadzić w powietrze cały obszar. Oczywiście nie widzielibyście ich w działaniu.

— Gdybyście opuścili obóz, dokądbyście poszli?

— Chodzi o to, nie wprowadzając do tego żadnych ubocznych czy błędnych czynników, że obecnie z pewnością w dużym stopniu wasze siły przewyższają nas liczebnie, ale w obozach mamy te cztery helikoptery, których na pewno nie zdołacie uszkodzić, ponieważ obecnie są cały czas pod uzbrojoną strażą; trzeba też uwzględnić całą liczącą się siłę ogniową, tak więc zimna rzeczywistość sytuacji jest taka, że możemy ogłosić remis i rozmawiać z pozycji wzajemnej równości. To oczywiście jest sytuacja tymczasowa. W razie konieczności jesteśmy zdolni przedsięwziąć policyjną akcję ochronną w celu zapobieżenia ogólnej wojnie. Co więcej, mamy za sobą całą siłę ognia Ziemskiej Floty Międzygwiezdnej, która mogłaby zdmuchnąć z nieba całą waszą planetę. Ale te pojęcia są dla was raczej niezrozumiałe, więc postawmy sprawę tak jasno i prosto, jak tylko

potrafię, że na razie jesteśmy gotowi negocjować z wami na warunkach równego systemu odniesienia.

Cierpliwość Selvera kończyła się; wiedział, że jego zły humor był objawem pogorszonego stanu psychicznego, ale nie potrafił już dłużej nad nim panować.

— Dalej więc!

— No, po pierwsze chcę, aby było jasno zrozumiane, że jak tylko dostaliśmy radio, powiedzieliśmy ludziom w innych obozach, żeby nie dostarczali nam broni i żeby nie podejmowali żadnych prób ratunku z powietrza i odwet był stanowczo wykluczony…

— To rozważne. Co dalej?

Pułkownik Dongh rozpoczął gniewną odpowiedź, potem przerwał; zbladł bardzo.

— Czy nie ma tu nic, na czym można by usiąść? — szepnął.

Selver obszedł grupę jumenów, ruszył pod górę do pustego dwupokojowego domu i wziął składane krzesło. Zanim opuścił milczący pokój, pochylił się i przyłożył policzek do porysowanego, surowego drewna biurka, gdzie Ljubow zawsze siedział pracując z Selverem lub sam. Leżały tam jakieś papiery; Selver dotknął ich lekko. Wyniósł krzesło na zewnątrz i postawił je dla Dongha w mokrej od deszczu ziemi. Stary mężczyzna usiadł zagryzając wargi, a jego migdałowego kształtu oczy zwęziły się z bólu.

— Panie Gosse, może pan mówić za pułkownika — rzekł Selver. — On nie czuje się dobrze.

— Ja będę mówił — powiedział Benton występując do przodu, ale Dongh potrząsnął głową i wymamrotał:

— Gosse.

Z pułkownikiem w roli raczej słuchacza niż mówcy poszło lepiej. Jumeni przyjmowali warunki Selvera. Przy wzajemnej obietnicy pokoju wycofaliby wszystkie swoje wysunięte placówki i mieszkali na jednym obszarze, regionie, który ogołocili z lasu w środkowym Sornolu: około trzech tysięcy kilometrów kwadratowych pofalowanej, dobrze nawodnionej ziemi. Podjęli się nie wchodzić do lasu; ludzie lasu podjęli się nie wkraczać na Wycięte Ziemie.

Przyczynę sporu stanowiły cztery pozostałe statki powietrzne. Jumeni obstawali, że potrzebują ich do przewiezienia swoich ludzi z innych wysp na Sornol. Ponieważ maszyny zabierały tylko czterech ludzi i każda podróż zajęłaby kilka godzin, Selverowi wydało się, że jumeni szybciej dotarliby do Eshsenu raczej pieszo, i zaoferował im przeprawę promem przez cieśniny; ale wydawało się, że jumeni nigdy nie chodzą daleko pieszo. Doskonale, mogą zatrzymać skoczki do „Operacji Most Powietrzny”, jak ją nazwali. Potem mają je zniszczyć. Odmowa. Gniew. Bardziej dbali o swe maszyny niż o ciała. Selver poddał się mówiąc, że mogą zatrzymać skoczki, jeżeli będą latać nimi

tylko nad Wyciętymi Ziemiami i jeżeli cała broń w nich zainstalowana zostanie zniszczona. Spierali się o to, ale między sobą, podczas gdy Selver czekał, czasami powtarzając swe żądania, bo w tym punkcie się nie poddawał.

— Co za różnica, Benton — powiedział w końcu stary pułkownik, wściekły i roztrzęsiony — nie widzisz, że nie możemy użyć tej cholernej broni? Są trzy miliony tych nie-Ziemców porozrzucanych po wszystkich cholernych wyspach, całych pokrytych drzewami i poszyciem, bez miast, bez żadnej ważnej sieci, bez scentralizowanej kontroli. Nie można zniszczyć struktury typu partyzanckiego bombami, udowodniono to; w gruncie rzeczy mój własny kraj, gdzie się urodziłem, udowadniał to około trzydziestu lat broniąc się przed wielkimi mocarstwami jedno po drugim w dwudziestym wieku. Niech duża broń idzie, jeśli możemy zatrzymać boczną do polowania i samoobrony!

On był ich Starym Mężczyzną i w końcu jego zdanie przeważyło, jakby to był Szałas Mężczyzn. Benton stał nachmurzony. Gosse zaczai mówić o tym, co by się zdarzyło, gdyby rozejm został zerwany, ale Selver przerwał mu.

— To są możliwości, nie skończyliśmy jeszcze z rzeczami pewnymi. Wasz Wielki Statek ma wrócić za trzy lata, to jest za trzy i pół roku według waszej rachuby. Do tego czasu jesteście tu wolni. Nie będzie wam zbyt ciężko. Nic więcej nie zostanie zabrane z Centralu oprócz części pracy Ljubowa, którą chcę zatrzymać. Ciągle macie większość waszych narzędzi do wycinania drzew i uprawy ziemi; jeśli potrzebujecie więcej narzędzi, kopalnie żelaza Peldel są na waszym terenie. Myślę, że wszystko jest jasne. Pozostaje dowiedzieć się jednego — kiedy przybędzie ten statek, co zechcą zrobić z wami i z nami?

— Nie wiem — rzekł Gosse. Dongh dodał:

— Gdybyście nie zniszczyli ansibla od razu na początku, moglibyśmy otrzymywać aktualne informacje w tych sprawach, a nasze meldunki oczywiście miałyby wpływ na podjęcie ostatecznej decyzji co do statusu tej planety, decyzji, która, jak moglibyśmy wtedy oczekiwać, zacznie być wprowadzana w życie, zanim statek wróci z Prestno. Ale z powodu bezmyślnego niszczenia, w wyniku nieświadomości waszego własnego interesu, nie mamy nawet radia, które działałoby w zasięgu ponad paruset kilometrów.

— Co to jest ansibl? — To słowo pojawiło się w rozmowie; było nowe dla Selvera.

— Urządzenie momentalnej łączności — mruknął ponuro pułkownik.

— Rodzaj radia — rzucił arogancko Gosse. — Kontaktowało nas błyskawicznie z naszym światem macierzystym.

— Bez dwudziestosiedmioletniego czekania? Gosse popatrzył się z góry na Selvera.

— Tak. Właśnie tak. Dużo się nauczyłeś od Ljubowa, prawda?

— Dużo się nauczył, aha — rzekł Benton. — Był małym zielonym kumplem Ljubowa. Wychwycił wszystko, co było warto wiedzieć, i jeszcze trochę więcej. Jak wszystkie ważne miejsca do sabotażu i gdzie mieli być wartownicy, i jak dostać się do magazynu broni. Musieli być w kontakcie aż do momentu rozpoczęcia masakry.

Gosse wydawał się skrępowany.

— Raj nie żyje. Wszystko to teraz nie ma znaczenia, Benton. Musimy ustalić…

— Czy próbuje pan insynuować, że kapitan Ljubow był zamieszany w działalność, którą można by określić jako zdradę wobec kolonii, Benton? — rzekł Dongh ostro, przyciskając ręce do brzucha. — Wśród mojego personelu nie było żadnych szpiegów czy zdrajców; został on absolutnie starannie dobrany, zanim opuściliśmy Ziemię, a ja znam ludzi, z którymi mam mieć do czynienia.

— Niczego nie insynuuję, panie pułkowniku. Mówię wprost, że to Ljubow podburzył stworzątka i że gdyby nie zmieniono naszych rozkazów po wylądowaniu statku Floty, nigdy by się to nie zdarzyło.

Gosse i Dongh zaczęli mówić jednocześnie.

— Wszyscy jesteście bardzo chorzy — zauważył Selver wstając i otrzepując się z wilgotnych brązowych liści dębu, które przyczepiły się do jego krótkiego futra jak do jedwabiu. — Przykro mi, że musieliśmy trzymać was w zagrodzie dla stworzątek, nie jest to dobre miejsce dla umysłu. Proszę posłać po waszych ludzi z obozów. Kiedy wszyscy tu będą, duża broń zostanie zniszczona i wszyscy z nas złożą obietnicę, wtedy was zostawimy. Bramy obozu zostaną otworzone, kiedy stąd dzisiaj odejdę. Czy jest coś jeszcze do dodania?

Nikt z nich nic nie powiedział. Patrzyli na niego z góry. Siedmiu dużych ludzi, o opalonej lub brązowej, pozbawionej włosów skórze, okrytych materiałami, ciemnookich, o ponurych twarzach; dwunastu małych ludzi, zielonych lub brązowozielonych, pokrytych futrem, o dużych oczach nocnego stworzenia, o marzycielskich twarzach; pomiędzy tymi dwiema grupami Selver, tłumacz, wątły, zniekształcony, trzymający ich przeznaczenie w pustych dłoniach. Na brązową ziemię wokół nich cicho padał deszcz.

— Żegnajcie więc — rzekł Selver i odszedł na czele swych ludzi.

— Oni nie są tacy głupi — odezwała się przywódczyni z Berre, towarzysząc Selverowi w drodze do Endtoru. — Myślałam, że takie olbrzymy muszą być głupie, ale zobaczyli, że jesteś bogiem, ujrzałam to w ich twarzach pod koniec rozmowy. Jak dobrze posługujesz się tym ich bełkotem. Są brzydcy, czy myślisz, że nawet ich dzieci są bezwłose?

— Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy.

— Fuj, pomyśl o karmieniu dziecka nie pokrytego futrem. Jakbyś próbował przystawić do piersi rybę.

— Oni wszyscy są szaleni — rzekł stary Tubab, który wyglądał na głęboko strapionego. — Ljubow nie był taki, kiedy przychodził do Tuntar. Był nieświadomy, ale rozsądny. Ale ci tutaj, oni sprzeczają się, drwią ze starego człowieka i nienawidzą się nawzajem, o, tak — wykrzywił pokrytą szarym futrem twarz naśladując wyraz twarzy Ziemian, których słów oczywiście nie rozumiał. — Co takiego powiedziałeś im, Selverze, że się wściekli?

— Powiedziałem im, że są chorzy. Ale zostali pokonani, urażeni i zamknięci w tej kamiennej klatce. Po czymś takim każdy mógłby się rozchorować i potrzebować leczenia.

— Kto ma ich leczyć? — odezwała się przywódczyni z Berre. — Ich wszystkie kobiety nie żyją. Biedne brzydactwa — wielkie nagie pająki, fuj!

— To ludzie, ludzie jak my, ludzie — rzekł Selver głosem cienkim i ostrym jak nóż.

— Och, mój drogi panie boże, wiem o tym, chciałam tylko powiedzieć, że wyglądają jak pająki — mówiła stara kobieta głaszcząc go po policzku. — Słuchajcie, ludzie, Selver jest wycieńczony tym chodzeniem pomiędzy Endtorem i Eshsenem, usiądźmy i odpocznijmy trochę.

— Nie tutaj — rzekł Selver. Ciągle byli na Wyciętych Ziemiach, wśród pniaków i trawiastych zboczy, pod gołym niebem. — Kiedy wejdziemy pod drzewa… — Potknął się, a ci, co nie byli bogami, pomogli mu iść drogą.

7.

Davidson znalazł dobre zastosowanie dla magnetofonu majora Muhameda. Ktoś musiał zarejestrować wydarzenia na Nowej Tahiti, historię ukrzyżowania ziemskiej kolonii. Żeby statki, kiedy przybędą z Matki Ziemi, mogły się dowiedzieć, do jakiej zdrady, tchórzostwa i szaleństwa są zdolni ludzie, i do jakiej odwagi wbrew wszystkiemu. W wolnych chwilach — niewiele więcej niż chwilach od czasu, kiedy przejął dowództwo — nagrywał całą historię Masakry w Obozie Smitha i w miarę możliwości uaktualniał zapis dla Nowej Jawy, a także dla Królewskiej i Centralnej, korzystając z histerycznego bełkotu, jaki otrzymywał w charakterze wiadomości z Dowództwa Centralu.

Co się tam dokładnie wydarzyło, nikt nigdy nie będzie wiedział z wyjątkiem stworzątek, bo ludzie próbowali zatuszować własną zdradę i błędy. Choć ogólne zarysy były jasne. Zorganizowana grupa stworzątek prowadzona przez Selvera została wpuszczona do Arsenału i Hangarów i rozbiegła się z dynamitem, granatami, bronią i miotaczami ognia, aby całkowicie zniszczyć miasto i wyrżnąć ludzi. Była to robota kierowana od środka, potwierdził to fakt, że Dowództwo pierwsze wyleciało w powietrze. Ljubow oczywiście maczał w tym palce, a jego mali zieloni kumple okazali się tak wdzięczni, jak można się było spodziewać, i poderżnęli mu gardło jak innym. Przynajmniej Gosse i Benton twierdzili, że widzieli go nieżywego rano po masakrze. Ale czy można było wierzyć komukolwiek z nich? Należało przyjąć, że każdy człowiek pozostały przy życiu w Centralu po tej nocy był mniej więcej zdrajcą. Zdrajcą swej rasy.

Twierdzili, że wszystkie kobiety nie żyją. To już niedobrze, ale co gorsza, nie było powodów, aby w to uwierzyć. Stworzątkom łatwo było brać więźniów w lasach, a nie było nic łatwiejszego do łapania niż przerażona dziewczyna uciekająca z płonącego miasta. A czy te małe zielone diabły nie chciałyby schwytać ludzkiej dziewczyny i poeksperymentować na niej? Bóg wie, ile kobiet było jeszcze żywych w osiedlach stworzątek, związanych pod ziemią w jednej z tych śmierdzących dziur, a te brudne, włochate, małe ludziomałpy dotykały je, łaziły po nich i bezcześciły je. Ale na Boga, czasami trzeba potrafić myśleć o tym, o czym nie da się myśleć.

Skoczek z Królewskiej zrzucił więźniom w Centralu aparat nadawczo-odbiorczy w dzień po masakrze i Muhamed nagrał wszystkie łączności z Centralem od tego dnia. Najbardziej niewiarygodna była rozmowa między nim a pułkownikiem Donghem. Kiedy puścił ją po raz pierwszy, Davidson zdarł ją ze szpuli i spalił.

Teraz żałował, że nie zatrzymał taśmy jako świetnego dowodu totalnej niekompetencji oficerów dowodzących zarówno w Centralu, jak i na Nowej Jawie. Niszcząc ją dał się pokonać swemu gorącemu temperamentowi. Ale jak mógł tam siedzieć i słuchać nagrania pułkownika i majora omawiających bezwarunkowe poddanie się Stworzątkom, zgadzających się nie próbować odwetu, nie bronić się, oddać całą ciężką broń, żeby wszyscy ścisnęli się na kawałku ziemi wybranym dla nich przez stworzątka, w rezerwacie przyznanym im przez ich hojnych zwycięzców, przez małe zielone zwierzaki. To było nie do wiary. Dosłownie nie do wiary.

Prawdopodobnie stary Ding Dong i Muu nie byli w gruncie rzeczy świadomymi zdrajcami. Po prostu sfiksowali, stracili nerwy. To przez tę przeklętą planetę. Tylko bardzo silna osobowość mogła się temu oprzeć. Było coś w powietrzu, może pyłek z tych wszystkich drzew, co działał jak jakiś narkotyk, powodujący, że normalni ludzie zaczynali głupieć i tracić kontakt z rzeczywistością jak stworzątka. A wtedy, będąc w mniejszości, stawali się łatwym celem dla stworzątek.

Fatalnie się stało, że trzeba było usunąć Muhameda z drogi, ale on nigdy nie zgodziłby się zaakceptować planów Davidsona, to było jasne; poszedł już za daleko. Każdy, kto wysłuchałby tej niewiarygodnej taśmy, zgodziłby się z tym. Więc lepiej, że został zastrzelony, zanim naprawdę się zorientował, co się dzieje, i teraz żadna zmaza nie przylgnie do jego imienia, w przeciwieństwie do Dongha i wszystkich innych oficerów pozostawionych przy życiu w Centralu.

Dongh ostatnio nie nawiązywał łączności radiowej. Teraz zwykle robił to Juju Sereng, z inżynierii. Davidson kiedyś kolegował się z Juju i uważał go za przyjaciela, ale teraz już nikomu nie można było ufać. A Juju był też Azjatą. To naprawdę dziwne, że tak wielu z nich przeżyło Masakrę Centralu; z tych, z którymi rozmawiał, jedynym nie-Azjatą był Gosse. Tutaj na Jawie tych pięćdziesięciu pięciu lojalnych ludzi, którzy pozostali po reorganizacji, to byli głównie Eurafi jak on, kilku Afrów i Afrazjatów, ani jednego czystego Azjaty. Jednak krew się liczy. Nie można być w pełni człowiekiem nie mając w żyłach choćby trochę krwi z Kolebki Człowieka. Lecz to nie powstrzyma go przed uratowaniem tych biednych żółtków w Centralu; po prostu pomaga wyjaśnić ich załamanie się w stresie.

— Nie zdajesz sobie sprawy, w jakie kłopoty nas wpędzasz, Don? — domagał się odpowiedzi swym bezbarwnym głosem Juju Sereng. — Zawarliśmy formalny rozejm ze stworzątkami. I mamy bezpośrednie rozkazy z Ziemi nie mieszać się do spraw pomagaczy i nie brać odwetu. A w ogóle, to jak, do diabła, mamy brać odwet? Teraz kiedy wszyscy z Ziemi Królewskiej i Południowo-Centralnej są tu z nami, wciąż jest nas mniej niż dwa tysiące, a co ty masz na Jawie, chyba

około sześćdziesięciu pięciu ludzi? Czy naprawdę uważasz, że dwa tysiące ludzi może rzucić się na trzy miliony inteligentnych wrogów, Don?

— Juju, pięćdziesięciu ludzi może to zrobić. To sprawa woli, umiejętności i broni.

— Bzdury! Chodzi o to, Don, że zawarto rozejm. Jeśli zostanie zerwany, to po nas. Teraz tylko dzięki niemu utrzymujemy się na powierzchni. Może kiedy statek wróci z Prestno i zobaczy, co się stało, zadecydują zlikwidować stworzątka. Nie wiemy. Ale wygląda na to, że stworzątka zamierzają utrzymać rozejm, w sumie to był ich pomysł, a my musimy. Mogą nas zlikwidować w każdej chwili po prostu swą liczebnością, jak zrobili to z Centralem. Było ich tysiące. Nie możesz tego zrozumieć, Don?

— Słuchaj, Juju, jasne, że rozumiem. Jeśli boisz się użyć tych trzech skoczków, które jeszcze masz, mógłbyś je tu przysłać z paroma facetami, którzy widzą sprawy tak samo jak my tutaj. Jeśli mam was uwolnić samodzielnie, z pewnością przydałoby mi się parę skoczków więcej.

— Nie uwolnisz nas, tylko spalisz, cholerny głupcze. Przyprowadź teraz tego ostatniego skoczka natychmiast do Centralu: to osobisty rozkaz pułkownika dla ciebie jako faktycznego dowódcy. Użyj go do przewiezienia swoich ludzi; dwanaście przelotów, nie będziesz potrzebował więcej niż czterech miejscowych dniookresów. Teraz wykonaj. — Pstryk, wyłączył się — bał się dalej z nim sprzeczać.

Z początku Davidson obawiał się, że mogliby posłać swoje trzy skoczki i naprawdę zbombardować lub ostrzelać Obóz Nowa Jawa; bo technicznie postępował wbrew rozkazom, a stary Dongh nie tolerował niezależnych elementów. Zobaczcie, jak już sobie odbił na Davidsonie za ten malutki wypad odwetowy na Smith. Inicjatywa została ukarana. Jak większość oficerów Dongh lubił uległość. Tkwi jednak w tym niebezpieczeństwo, że sam oficer może stać się uległy. Davidson w końcu zdał sobie sprawę naprawdę wstrząśnięty, że skoczki nie stanowiły dla niego zagrożenia, bo Dongh, Sereng, Gosse, nawet Benton, obawiali się je wysłać. Stworzątka kazały im trzymać skoczki wewnątrz Rezerwatu Ludzi: a oni wykonywali rozkazy.

Chryste, niedobrze mu się od tego robiło. Czas działać. Czekają już prawie dwa tygodnie. Dobrze ufortyfikował swój obóz; wzmocnili częstokół i podwyższyli go. tak że żaden zielony kurdupel nie mógłby przez niego przeleźć, a ten sprytny dzieciak Aabi zrobił domowym sposobem mnóstwo zgrabnych min ziemnych i rozrzucił je wokół umocnień w pasie stumetrowej szerokości. Nadszedł czas, aby pokazać tym stworzątkom, że mogą pomiatać tymi baranami w Centralu, ale na Nowej Jawie mają do czynienia z mężczyznami. Podniósł skoczka w powietrze i poprowadził piętnastoosobowy oddział piechoty do

kolonii stworzątek na południe od obozu. Nauczył się, jak znajdować je z powietrza; oznakami były sady, skupiska pewnych gatunków drzew, choć nie posadzonych w rzędach, jak zrobiliby to indzie. Nie do wiary, ile było kolonii, kiedy już się nauczyło je odnajdywać. Las aż się od nich roił. Grupa szturmowa spaliła tę kolonię, a potem lecąc do obozu z paroma chłopcami dostrzegł inną, mniej niż cztery kilosy od obozu. Na tę, żeby po prostu podpisać się czytelnie i jasno, żeby każdy mógł przeczytać, spuścił bombę. Tylko bombę ogniową, niedużą, ale rany, jak to zielone futro latało. Zostawiła w lesie wielką dziurę z płonącymi krawędziami.

Oczywiście to była jego prawdziwa broń, kiedy przy-szłoby do podjęcia zmasowanej akcji odwetowej. Pożar lasu. Mógł podpalić jedna z tych całych wysp bombami i napalmem zrzucanym ze skoczka. Trzeba poczekać miesiąc czy dwa, aż skończy się pora deszczowa. Powinien podpalić Królewską, Smitha czy Centralną? Może najpierw Królewską, jako drobne ostrzeżenie, bo nie ma już tam ludzi. Potem Centralna, jeśli się nie podporządkują.

— Co próbujesz zrobić? — odezwał się głos w radiu. Davidson uśmiechnął się; był taki zbolały, jakby należał do jakiejś napadniętej staruszki. — Czy wiesz, co robisz, Davidson?

— Aha.

— Czy sądzisz, że ujarzmisz stworzątka? — Tym razem to nie był Juju, to mógł być jajogłowy Gosse lub każdy z nich, bez różnicy; wszyscy beczeli „meee".

— Tak, zgadza się — rzekł z ironiczną łagodnością.

— Myślisz, że jeśli będziesz palił wsie, to przyjdą do ciebie i poddadzą się — trzy miliony. Tak?

— Może.

— Słuchaj, Davidson — powiedziało radio po chwili, pełne wizgów i brzęczenia; używali jakiejś awaryjnej instalacji po stracie dużego nadajnika razem z tym niby-ansiblem, co było małą stratą. — Słuchaj, czy jest tam ktoś, z kim moglibyśmy porozmawiać?

— Nie, wszyscy są bardzo zajęci. Wiesz co, świetnie nam się wiedzie, ale nie mamy deserów, żadnych koktajli owocowych, brzoskwiń, takich rzeczy. Niektórym chłopakom bardzo tego brakuje. I mieliśmy dostać ładunek marychy, kiedy wylecieliście w powietrze. Gdybym przysłał skoczka, moglibyście podzielić się paroma skrzynkami słodyczy i trawki?

Chwila ciszy.

— Tak, przyślij go.

— Świetnie. Wsadzicie towar do sieci, a chłopcy podniosą ją bez lądowania. — Uśmiechnął się.

Po drugiej stronie powstało jakieś zamieszanie i nagle zupełnie niespodziewanie dał się słyszeć głos Dongha; pierwszy raz odezwał się

do Davidsona. Miał jakby zadyszkę i brzmiał słabo na tle pisków krótkofalówki.

— Proszę posłuchać, kapitanie, chcę wiedzieć, czy w pełni pan zdaje sobie sprawę z tego, jakie działania będę musiał podjąć w związku z pańskimi akcjami na Nowej Jawie, jeżeli w dalszym ciągu nie będzie pan wypełniał rozkazów. Próbuję przemówić panu do rozsądku jako rozsądnemu i lojalnemu żołnierzowi. W celu zapewnienia bezpieczeństwa mojego personelu tutaj w Centralu będę postawiony w sytuacji konieczności powiedzenia tubylcom, że nie możemy przyjąć zupełnie żadnej odpowiedzialności za pana działania.

— To prawda, sir.

— Próbuję panu wyjaśnić, że to znaczy, iż będziemy postawieni w sytuacji, w której będziemy musieli powiedzieć im, że nie możemy powstrzymać pana przed zerwaniem rozejmu tam na Jawie. Pański personel wynosi prawdopodobnie sześćdziesięciu sześciu ludzi, no więc chcę mieć tych ludzi całych i zdrowych tutaj w Centralu z nami, aby czekali na Shackletona, i utrzymać kolonię w całości. Znajduje się pan na samobójczym kursie, a ja jestem odpowiedzialny za tych ludzi, których ma pan tam ze sobą.

— Nie, sir. Ja jestem za nich odpowiedzialny. Proszę się odprężyć. Tylko kiedy zobaczy pan, że dżungla płonie, proszę zebrać się na środku Pasa, bo nie chcemy was usmażyć razem ze stworzątkami.

— Słuchaj więc, Davidson, rozkazuję natychmiast przekazać dowództwo porucznikowi Tembie i zameldować się tu u mnie — rzekł odległy piskliwy głos i Davidson z obrzydzeniem nagle wyłączył radio. Oni wszyscy są stuknięci, bawią się jeszcze w żołnierzy, w pełnym odseparowaniu od rzeczywistości. Tak naprawdę jest bardzo niewielu ludzi, którzy potrafią stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością, kiedy zaczyna być ciężko.

Jak oczekiwał, miejscowe stworzątka nie uczyniły absolutnie nic w związku z jego atakami na kolonie. Jedynym sposobem postępowania z nimi, tak jak wiedział od początku, było sterroryzować je i nigdy im nie popuścić. Jeśli tak się robiło, wiedziały, kto tu był panem, i uginały się. Wiele wsi w promieniu trzydziestu kilosów wydawało się opuszczonych, zanim do nich dotarł, ale ciągle wysyłał swoich ludzi co kilka dni, żeby je palili.

Chłopaki robiły się dość nerwowe. Kazał im wycinać las, bo właśnie czterdziestu ośmiu z pięćdziesięciu pięciu pozostałych przy życiu lojalnych ludzi było drwalami. Ale wiedzieli, że robofrachtowce z Ziemi nie zostaną wezwane, aby załadować drewno, tylko krążyć na orbicie czekając na sygnał, który nie nadejdzie. Nie ma sensu wycinać drzew dla samego ich wycinania: to była ciężka praca. Równie dobrze można by je spalić. Ćwiczył ludzi w grupach, rozwijając techniki

podpalania. Ciągle jeszcze zbyt często padało, aby wiele zdziałał, ale to sprawiło, że mieli o czym myśleć. Gdyby tylko miał te pozostałe trzy skoczki, naprawdę mógłby uderzać i zwiewać. Rozważał nalot na Central w celu uwolnienia skoczków, ale nie wspomniał o tym pomyśle nawet Aabiemu i Tembie, swoim najlepszym ludziom. Niektórzy chłopcy mieliby stracha na myśl o zbrojnym ataku na własne Dowództwo. Ciągle mówili o tym, „kiedy wrócimy z resztą". Nie wiedzieli, że ta cała reszta opuściła ich, zdradziła, sprzedała własną skórę stworzątkom. Nie powiedział im o tym; nie znieśliby tego.

Pewnego dnia on, Aabi i Temba, i jeszcze jeden dobry rozsądny mężczyzna po prostu wezmą skoczka, potem trzech z nich wyskoczy z pistoletami maszynowymi, wezmą po jednym skoczku, i z powrotem do domu, do domu, trzask-prask. Z czterema ładnymi trzepaczkami do ubijania jajek. Nie można zrobić omletu nie rozbijając jajek. Davidson roześmiał się głośno w ciemności swego bungalowu. Trzymał ten plan w ukryciu przez chwilę dłużej, bo tak bardzo przyjemnie podniecało go myślenie o nim.

Po następnych dwóch tygodniach prawie całkiem zlikwidował kolonie stworzątek w zasięgu pieszych wycieczek i las był porządny i czysty. Żadnego robactwa. Żadnych obłoczków dymu nad drzewami. Nikt nie wyskakiwał z krzaków i nie padał na ziemię z zamkniętymi oczami, czekając, aż się go rozdepcze. Żadnych zielonych ludzików. Tylko masa drzew i kilka wypalonych miejsc. Chłopcy robili się naprawdę nerwowi i nieprzyjemni: nadszedł czas przeprowadzenia ataku ze skoczkami. Pewnej nocy przedstawił swój plan Aabiemu, Tembie i Postowi.

Przez minutę żaden z nich nic nie mówił, a potem Aabi rzekł:

— Co z paliwem, panie kapitanie?

— Mamy wystarczającą ilość paliwa.

— Nie dla czterech skoczków; nie starczyłoby na tydzień.

— To znaczy, że dlatego został nam tylko miesięczny przydział?

Aabi skinął głową.

— No więc, wygląda na to, że weźmiemy też trochę paliwa.

— Jak?

— Ruszcie mózgami.

Wszyscy siedzieli z głupimi minami. Rozdrażniło go to. We wszystkim polegali na nim. Był naturalnym przywódcą, ale lubił ludzi, którzy myśleli także samodzielnie.

— Rozwiąż to, Aabi, to twoja działka — powiedział i wyszedł zapalić; niedobrze robiło mu sic od tego, jak wszyscy się zachowują, jakby stracili pewność siebie. Po prostu nie potrafią stanąć twarzą w twarz z zimnymi, twardymi faktami.

Mieli teraz bardzo mało marychy, a on sam nie miał marychy od

paru dni. To mu nie szkodziło. Noc była pochmurna i czarna, wilgotna, ciepła, pachnąca wiosną. Ngenene przeszedł obok krokiem łyżwiarza albo prawie jak robot na sznurkach; powoli odwrócił się w pół ślizgu i spojrzał na Davidsona, który stał na ganku bungalowu w przytłumionym świetle padającym od drzwi. Był to operator piły mechanicznej, ogromny mężczyzna.

— Źródło mojej energii jest podłączone do Wielkiego Generatora, od którego nie mogę się odłączyć — powiedział monotonnie, patrząc na Davidsona.

— Idź do swego baraku i odeśpij to — rzekł Davidson głosem przypominającym trzask bata, którego nikt nigdy nie lekceważył, i po chwili Ngenene ostrożnie popłynął dalej, z karkołomną gracją. Zbyt wielu ludzi w coraz większych dawkach zażywało halusie. Mieli ich dużo, ale były one przeznaczone dla drwali odpoczywających w niedzielę, a nie dla żołnierzy maleńkiego odosobnionego posterunku we wrogim świecie. Nie mieli czasu na narkotyzowanie się, na sny. Będzie musiał zamknąć zapasy. Wtedy niektórzy z chłopców mogliby się załamać. No to niech się załamią. Nie można zrobić omletu nie rozbijając jajek. Może powinien wysłać ich z powrotem do Centralu w zamian za trochę paliwa. Wydać im dwa, trzy zbiorniki z benzyną, a ja wam dam dwa, trzy ciepłe ciała, lojalnych żołnierzy, dobrych drwali, akurat w waszym typie, trochę za bardzo pogrążonych w świecie marzeń…

Uśmiechnął się i wchodził do środka, aby wypróbować to na Tembie i innych, kiedy wartownik postawiony przy stercie drewna wrzasnął.

— Nadchodzą! — wyskrzeczał wysokim głosem, jak dziecko bawiące się w Czarnuchów i Rodezyjczyków. Ktoś inny po zachodniej stronie częstokołu też zaczął wrzeszczeć. Wystrzelił pistolet.

I nadeszli. Chryste, nadeszli. To było niewiarygodne. Były ich tysiące, tysiące. Żadnego dźwięku, zupełnie żadnego hałasu aż do skrzeku wartownika; potem jeden wystrzał; potem wybuch — mina ziemna — i jeszcze jeden, zaraz po tym pierwszym, i setki rozbłyskujących pochodni zapalanych jedna od drugiej, rzucanych i wzbijających się przez czarne wilgotne powietrze jak rakiety, i ściany częstokołu ożywające od stworzątek wlewających się, przelewających się, pchających się, rojących się, tysiące ich. To było jak armia szczurów, którą Davidson kiedyś widział, gdy był dzieckiem, podczas ostatniego Głodu, na ulicach Cleveland w Ohio, gdzie wyrósł. Coś wygoniło szczury z nor i wyszły na światło dzienne, przelewając się przez mur, pulsujący dywan futra, oczu i małych dłoni i zębów, a on zawołał mamusię i uciekł jak szalony, a może to był tylko sen, jaki przyśnił mu się w dzieciństwie? Ważne było zachowanie spokoju. Skoczek stał zaparkowany w zagrodzie stworzątek; po tej stronie było

jeszcze ciemno i dotarł tam od razu. Bramę zamknął na klucz, zawsze o to dbał na wszelki wypadek, gdyby jednej ze słabych siostrzyczek przyszło do głowy odlecieć do taty Ding Donga którejś ciemnej nocy. Zdawało się, że wyjęcie klucza, włożenie go do zamka i przekręcenie w prawo zajęło dużo czasu, ale była to tylko kwestia zachowania spokoju, a potem bieg do skoczka i otwarcie go z klucza zajęło dużo czasu. Byli z nim teraz Post i Aabi. W końcu dał się słyszeć pulsujący huk wirników, ubijanie jajek, pochłaniający wszystkie niesamowite dźwięki, wrzeszczące, piszczące i śpiewające wysokie głosy. Wzbili się w górę, zostawiając poniżej piekło: płonącą zagrodę pełną szczurów.

— Szybka ocena niebezpieczeństwa wymaga zimnej krwi — rzekł Davidson. — Wy myśleliście szybko i szybko działaliście. Dobra robota. Gdzie jest Temba?

— Dostał włócznią w brzuch — powiedział Post. Wydawało się, że Aabi, pilot, chce prowadzić skoczka, więc Davidson pozwolił mu na to. Wgramolił się na jedno z tylnych miejsc i oparł się wygodnie rozluźniając mięśnie. Las płynął pod nimi, czerń pod czernią.

— Dokąd lecisz, Aabi?

— Do Centralu.

— Nie. Nie chcemy lecieć do Centralu.

— Dokąd chce pan lecieć? — zapytał Aabi z jakby kobiecym chichotem. — Do Nowego Jorku? Pekinu?

— Po prostu zostań w powietrzu, Aabi, i lataj naokoło obozu. W dużych kręgach poza zasięgiem słuchu.

— Kapitanie, teraz nie ma już żadnego obozu Nowa Jawa — rzekł Post, nadzorca drwali, krępy, spokojny mężczyzna.

— Kiedy stworzątka skończą palić obóz, wkroczymy my i spalimy stworzątka. Musi ich tam być cztery tysiące w jednym miejscu. Z tyłu tego helikoptera jest sześć miotaczy ognia. Dajmy im jakieś dwadzieścia minut. Zaczniemy z bombami napalmowymi, a uciekających dopadniemy miotaczami ognia.

— Chryste — rzekł Aabi gwałtownie — mogliby tam być niektórzy z naszych chłopców, stworzątka mogły wziąć jeńców, nie wiemy. Ja tam nie wracam, żeby palić ludzi, być może. — Nie zawrócił skoczka.

Davidson przyłożył lufę rewolweru do potylicy Aabiego i powiedział:

— Owszem, wracamy; więc weź się w garść, dziecino, i nie sprawiaj mi kłopotu.

— Paliwa w zbiorniku wystarczy do Centralu, kapitanie — rzekł pilot. Próbował uchylić głowę od dotyku pistoletu, jakby to była dokuczliwa mucha. — Ale to wszystko. Mamy tylko tyle.

— Więc zrobimy na nim dużo kilometrów. Zawracaj, Aabi.

— Myślę, że lepiej będzie, jak polecimy do Centralu, kapitanie —

rzekł Post swoim flegmatycznym głosem i ten spisek przeciwko niemu tak bardzo rozzłościł Davidsona, że odwracając broń w dłoni, z szybkością atakującego węża trzepnął Posta nad uchem kolbą pistoletu. Drwal złożył się na pół jak karnet z życzeniami i siedział na przednim fotelu z głową między kolanami i rękoma zwisającymi do podłogi.

— Zawracaj, Aabi — rzekł Davidson głosem jak trzask bata. Helikopter zatoczył szeroki łuk.

— Cholera, gdzie jest obóz, nigdy nie podnosiłem tego skoczka w nocy bez żadnych sygnałów naziemnych — powiedział Aabi głuchym i nieprzyjemnym głosem, sprawiającym wrażenie, jakby był przeziębiony.

— Leć na wschód i wypatruj ognia — rzekł Davidson zimno i cicho. Żaden z nich nie był naprawdę wytrzymały, nawet Temba. Żaden z nich nie został przy nim, kiedy sprawy przybrały naprawdę zły obrót. Prędzej czy później wszyscy zjednoczyli się przeciw niemu, ponieważ po prostu nie potrafili przyjąć tego tak jak on. Słabi knują przeciw silnemu, silny człowiek musi stać samotnie i sam o siebie dbać. Po prostu tak się mają sprawy. Gdzie obóz?

Powinni widzieć płonące budynki z odległości wielu kilometrów w tej absolutnej ciemności, nawet w deszczu. Nic się nie pokazywało. Szaro-czarne niebo, czarna ziemia.

Ognie musiały wygasnąć. Musiały zostać wygaszone. Czy ludzie mogli odeprzeć stworzątka? Po jego ucieczce? Ta myśl przeszyła jego mózg jak lodowaty prysznic. Nie, oczywiście, że nie, nie pięćdziesięciu przeciw tysiącom. Ale na Boga, w każdym razie musi być sporo wysadzonych w powietrze kawałków stworzęciny leżących na polach minowych. Że też nadeszli tak cholernie gęsto. Nic nie mogło ich zatrzymać. Nie mógł się na to przygotować. Skąd przyszli? W lesie naokoło nigdzie nie było stworzątek, choćbyś szedł dniami. Musieli skądś się wylewać, ze wszystkich stron, skradając się w lesie, wychodząc ze swoich nor jak szczury. Nie było sposobu zatrzymać tych tysięcy i tysięcy. Gdzie, do diabła, był obóz? Aabi oszukiwał, fałszował kurs.

— Znajdź obóz, Aabi — powiedział cicho.

— Chryste, próbuję — odparł chłopiec.

Post nie ruszał się, złożony we dwoje obok pilota.

— Nie mógł tak po prostu zniknąć, prawda, Aabi? Masz siedem minut, aby go znaleźć.

— Sam go znajdź — rzekł Aabi piskliwie i ponuro.

— Nie, póki ty i Post się nie podporządkujecie. Opuść go trochę.

Po minucie Aabi rzekł:

— To wygląda na rzekę.

Była to rzeka i duża polana; ale gdzie znajdował się Obóz Jawa?

Nie pokazał się, kiedy lecieli na północ nad polaną.

— To musi być to, nie ma tu przecież żadnej innej dużej polany — powiedział Aabi zawracając nad terenem pozbawionym drzew. Ich reflektory lądowania świeciły jaskrawo, ale poza tunelami światła nic nie było widać; lepiej je wyłączyć. Davidson sięgnął nad ramieniem pilota i zgasił światła. Pusta wilgotna ciemność uderzyła ich po oczach jak wilgotny ręcznik.

— Na rany Chrystusa! — krzyknął Aabi i z powrotem włączając światła skręcił skoczek w lewo i w górę, ale nie zdążył. Ogromne drzewa wyłoniły się ukośnie z nocy i złapały maszynę. Łopaty śmigła zawyły, rozrzucając jak w cyklonie liście i gałązki poprzez jasne ścieżki światła, ale pnie były bardzo stare i mocne. Mała skrzydlata maszyna rzuciła się w przód, jakby zakołysała się gwałtownie, wyswobodziła i spadła bokiem na drzewa. Światła zgasły. Hałas ucichł.

— Nie czuję się dobrze — powiedział Davidson. Powtórzył to. Potem przestał powtarzać, bo nie było do kogo mówić. Po chwili zdał sobie sprawę, że jednak tego nie powiedział. Czuł się oszołomiony. Musiał uderzyć się w głowę. Aabiego nie było. Gdzie jest? To jest skoczek. Był zupełnie przewrócony, ale Davidson ciągle siedział w fotelu. Było ciemno, jakby zupełnie oślepł. Pomacał naokoło rękami i znalazł Posta, nieruchomego, ciągle zgiętego wpół, wbitego między przedni fotel i konsolę. Skoczek drgał, kiedy Davidson się poruszał, i w końcu domyślił się, że nie jest na ziemi, ale wbił się między drzewa, zaplątany jak latawiec. Głowa już go mniej bolała i coraz bardziej chciał wydostać się z czarnej, przechylonej kabiny. Przecisnął się do fotela pilota i wysunął nogi na zewnątrz, zawisł na rękach i nie poczuł ziemi, tylko gałęzie ocierające się o jego dyndające nogi. W końcu puścił się, nie wiedząc, jak daleko będzie spadał, ale musiał wydostać się z tej kabiny. Na dół było tylko około metra. Upadek wstrząsnął nim, ale poczuł się lepiej stojąc. Gdyby tylko nie było tak ciemno, tak czarno. Miał latarkę przy pasie, zawsze ją nosił w nocy w obozie. Ale nie było jej tam. Zabawne. Musiała wypaść. Lepiej, jak wróci do skoczka i znajdzie ją. Może Aabi ją wziął. Aabi specjalnie rozbił skoczka, zabrał latarkę Davidsona i uciekł. Obleśny mały mieszaniec, taki jak cała reszta. Powietrze było parne i pełne wilgoci, i nie widział, gdzie stawia stopy, wszędzie były korzenie, krzaki i zarośla. Wszędzie dookoła słyszał jakieś odgłosy, kapanie wody, szelesty, ciche dźwięki, małe zwierzęta skradające się w ciemności. Lepiej, jak wróci do skoczka, weźmie latarkę. Ale nie wiedział, jak wspiąć się z powrotem. Dolna krawędź drzwi była minimalnie poza zasięgiem jego palców.

Ujrzał światło, słaby błysk, który oddalił się w drzewa. Aabi wziął latarkę i poszedł na zwiady, zorientować się w sytuacji, sprytny chłopak. — Aabi! — zawołał przenikliwym szeptem. Stanął na czymś

dziwnym, kiedy jeszcze raz próbował dojrzeć światło między drzewami. Kopnął to, potem położył na tym rękę, ostrożnie, bo nie było mądrze dotykać tego, czego się nie widzi. Dużo czegoś wilgotnego, gładkiego, jak zdechły szczur. Szybko cofnął rękę. Po chwili spróbował w innym miejscu; pod dłonią miał but, wyczuwał skrzyżowane sznurowadła. Pod samymi jego stopami musiał leżeć Aabi. Wyrzuciło go ze spadającego skoczka. Cóż, zasłużył na to swoim judaszowym numerem, próbą ucieczki do Centralu. Davidsonowi nie podobał się mokry dotyk nie widzianego ubrania i włosów. Wyprostował się. Znowu było tam światło, poprzecinane na czarno bliskimi i dalekimi pniami drzew, odległy poruszający się blask.

Davidson położył rękę na kaburze. Rewolweru nie było.

Trzymał go przedtem w ręku, na wszelki wypadek, gdyby Post czy Aabi zaczęli dokazywać. Teraz go nie miał. Musi być na górze w helikopterze z latarką.

Stał skulony, nieruchomy; nagle rzucił się biegiem. Nie widział, dokąd biegnie. Pnie drzew rzucały go z boku na bok, kiedy wpadał na nie, a korzenie chwytały go za nogi. Upadł jak długi, waląc się z trzaskiem między krzaki. Unosząc się na rękach i kolanach próbował się ukryć. Nagie, wilgotne gałązki szorowały go po twarzy. Wśliznął się głębiej w krzaki. Jego umysł był całkowicie wypełniony złożonymi zapachami zgnilizny i wzrostu, martwych liści, rozkładu, nowych pędów, liści zarodniowych, kwiatów; zapachami nocy, wiosny i deszczu. Światło zabłysło wprost na niego. Zobaczył stworzątka.

Pamiętał, co robiły przyparte do muru i co mówił o tym Ljubow. Odwrócił się na plecy i leżał z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami. Serce biło mu nierówno.

Nic się nie stało.

Trudno było otworzyć oczy, ale w końcu udało mu się. Po prostu stali tam; dużo ich, dziesięć lub dwadzieścia. Mieli te włócznie do polowania, małe i wyglądające jak zabawki, ale żelazne groty były ostre, mogły jak nic przejść przez bebechy. Zamknął oczy; po prostu leżał.

I nic się nie stało.

Serce mu się uspokoiło i wyglądało na to, że mógł myśleć jaśniej. Coś się w nim poruszyło, coś prawie jak śmiech. Na Boga, nie mogli go dostać! Jeśli jego ludzie zdradzili go, a ludzka inteligencja nic już nie może dla niego zrobić, to on użyje przeciwko nim ich własnej sztuczki — uda martwego i wyzwoli ten instynkt, który nie pozwala im zabić nikogo, kto przyjmuje taką pozycję. Stali po prostu naokoło niego, mrucząc do siebie. Nie mogą go skrzywdzić. Tak jakby był bogiem.

— Davidson.

Musiał znowu otworzyć oczy. Żywiczna pochodnia, którą trzymało jedno ze stworzątek, ciągle płonęła, ale ciemność zbladła i

las był teraz ciemnoszary, a nie czarny jak smoła. Jak to się stało? Minęło tylko pięć lub dziesięć minut. Nadal trudno było cokolwiek zobaczyć, ale nie była to już noc. Widział liście i gałęzie, las. Widział twarz patrzącego w dół na niego. Nie miała koloru w tym bezbarwnym mroku świtu. Pokryte bliznami rysy wyglądały jak ludzkie. Oczy były jak ciemne dziury.

— Pozwól mi wstać — powiedział nagle Davidson głośnym, ochrypłym głosem. Drżał z zimna od leżenia na wilgotnej ziemi. Nie mógł tak leżeć, kiedy Selver patrzył na niego z góry.

Selver nie miał nic w rękach, ale wiele diabełków naokoło niego trzymało nie tylko włócznie, ale i rewolwery. Ukradzione z jego magazynu w obozie. Z trudem podniósł się na nogi. Ubranie przylegało mu lodowato do ramion i łydek i nie potrafił powstrzymać drżenia.

— Skończcie z tym — rzekł. — Szybko-szybko! Selver tylko na niego patrzył. Przynajmniej teraz musiał patrzeć w górę, wysoko w górę, aby spotkać wzrok Davidsona.

— Czy pragniesz, abym cię teraz zabił? — zapytał. Nauczył się tego sposobu mówienia od Ljubowa, oczywiście; nawet jego głos to mógłby być Ljubow. Niesamowite.

— To mój wybór, tak?

— Cóż, leżałeś całą noc w sposób oznaczający, że pragniesz, abyśmy pozwolili ci żyć; a teraz chcesz umrzeć?

Ból głowy i żołądka, i jego nienawiść do tego strasznego małego wybryku natury, który mówił jak Ljubow i na którego łasce się znajdował, ból i nienawiść połączyły się i wywróciły mu żołądek, więc prawie zwymiotował. Drżał z zimna i mdłości. Próbował utrzymać odwagę. Nagle postąpił krok naprzód i splunął Selverowi w twarz.

Po małej przerwie Selver wykonał jakby taneczny ruch i splunął na Davidsona. I roześmiał się. I nie uczynił żadnego ruchu, aby zabić Davidsona. Davidson wytarł zimną plwocinę z warg.

— Niech pan posłucha, kapitanie Davidson — rzekło stworzątko tym spokojnym cichym głosem, od którego Davidsonowi kręciło się w głowie i robiło się niedobrze — obaj jesteśmy bogami, pan i ja. Pan jest szalony, a ja nie jestem pewny, czy jestem zdrowy, czy nie. Ale jesteśmy bogami. Nie będzie już nigdy takiego spotkania w lesie jak teraz to spotkanie między nami. Przynosimy sobie nawzajem podarunki, jakie przynoszą bogowie. Pan dał mi podarunek, zabijanie własnego gatunku, morderstwo. Teraz, w miarę możliwości, daję panu podarunek mojego ludu, który jest niezabijaniem. Myślę, że nasze wzajemne podarunki są trudne do udźwignięcia. Jednak musi pan dźwigać go sam. Pańscy ludzie w Eshsenie mówią mi, że jeśli pana tam sprowadzę, będą musieli zrobić nad panem sąd i zabić pana, prawo im to nakazuje. Tak więc chcąc dać panu życie, nie mogę

zabrać pana z innymi jeńcami do Eshsenu; a nie mogę zostawić pana wolno w lesie, bo wyrządza pan zbyt wiele krzywd. Więc będzie pan traktowany jak jeden z nas, kiedy oszaleje. Weźmiemy pana na Rendlep, gdzie nikt już nie mieszka, i zostawimy tam.

Davidson wpatrywał się w stworzątko, nie mógł oderwać od niego oczu. Jak gdyby miało nad nim jakąś hipnotyczną władzę. To było nie do zniesienia. Nikt nie miał nad nim władzy. Nikt nie mógł go skrzywdzić.

— Powinienem złamać ci kark od razu, tego dnia, kiedy próbowałeś rzucić się na mnie — powiedział głosem ciągle chrapliwym i stłumionym.

— To mogłoby być najlepsze — odparł Selver. — Ale Ljubow powstrzymał pana, tak jak teraz powstrzymuje mnie przed zabiciem pana. Całe zabijanie jest już dokonane. I wycinanie drzew. Na Rendlep nie ma drzew do wycinania. To miejsce, które wy nazywacie Wyspą Śmietnikową. Wasi ludzie nie zostawili tam żadnych drzew, więc nie może pan zrobić łodzi i odpłynąć w niej. Niewiele roślin już tam pozostało, więc będziemy musieli przywozić panu żywność i drewno do palenia. Na Rendlepie nie ma niczego, co dałoby się zabić. Żadnych drzew, żadnych ludzi. Były drzewa i ludzie, ale teraz są tam tylko sny o nich. Wydaje mi się, że jest to odpowiednie miejsce do życia dla pana, skoro musi pan żyć. Mógłby się pan tam nauczyć, jak śnić, ale najprawdopodobniej w końcu dojdzie pan w swym szaleństwie do jego właściwego końca.

— Zabij mnie teraz i przestań się tak cholernie naigrawać.

— Zabić pana? — powiedział Selver, a jego oczy patrzące w górę na Davidsona zdawały się błyszczeć, bardzo czyste i straszne, w półmroku lasu. — Nie mogę pana zabić, Davidson. Pan jest bogiem. Musi pan to zrobić sam.

Odwrócił się i odszedł, lekko i szybko, po paru krokach znikając między szarymi drzewami.

Po głowie Davidsona przesunęła się pętla i lekko zacisnęła się na jego gardle. Małe włócznie zbliżyły się do jego pleców i boków. Nie próbowali go zranić. Mógł uciec, wyrwać się, nie odważyliby się go zabić. Ostrza były wypolerowane, uformowane w kształt liści, ostre jak brzytwa. Pętla łagodnie pociągnęła go za szyję. Szedł tam, gdzie go prowadzono.

8.

Selver dawno nie widział Ljubowa. Ten sen poszedł z nim do Rieshwelu. Był z nim, kiedy po raz ostatni mówił do Davidsona. Potem odszedł i może spał teraz w grobie śmierci Ljubowa w Eshsenie, bo nigdy nie przyszedł do Selvera w mieście Broter, gdzie teraz mieszkał.

Ale kiedy wrócił wielki statek i Selver poszedł do Eshsenu, Ljubow spotkał go tam. Milczał i był bardzo smutny, tak że w Selverze obudził się stary, ciężki żal.

Ljubow został z nim, cień w umyśle, nawet kiedy Selver spotkał jumenów ze statku. To byli ludzie władzy — inni niż wszyscy jumeni, których dotąd znał, poza jego przyjacielem, ale znacznie silniejsi niż Ljubow.

Jego język jumenów zardzewiał i z początku pozwalał mówić głównie im. Kiedy był już całkiem pewny, jakiego rodzaju są ludźmi, wysunął ciężkie pudło, które przyniósł z Broteru.

— Wewnątrz jest dzieło Ljubowa — rzekł szukając słów. — Wiedział o nas więcej niż inni. Nauczył się mojego języka i Mowy Mężczyzn; wszystko tu zapisał. Rozumiał nieco z tego, jak żyjemy i śnimy. Inni nie. Dam wam to dzieło, jeśli zabierzecie je do miejsca, do którego chciał.

Ten wysoki, białoskóry, Lepennon, wyglądał na uszczęśliwionego i podziękował Selverowi mówiąc mu, że te papiery rzeczywiście zostaną zabrane tam, gdzie chciał Ljubow, i że będą wysoko cenione. To sprawiło Selverowi przyjemność. Lecz głośne wymawianie imienia przyjaciela sprawiało mu ból, bo twarz Ljubowa nadal była rozgoryczona i smutną, kiedy zwrócił się do niej w duchu. Wycofał się nieco od jumenów i obserwował ich. Dongh, Gosse i inni ź Eshsenu byli tam razem z tą piątką ze statku. Nowi wyglądali czysto, wypolerowani jak nowe żelazo. Starzy pozwolili włosom wyrosnąć na swoich twarzach, tak że wyglądali trochę jak ogromni Athsheanie o czarnym futrze. Nosili jeszcze ubrania, ale były one stare i nie utrzymane w czystości. Nie byli chudzi, z wyjątkiem Starego Człowieka, który od Nocy Eshsenu ciągle niedomagał; lecz wszyscy wyglądali trochę jak ludzie, którzy się zgubili lub oszaleli.

Spotkanie nastąpiło na skraju lasu, w tej strefie, w której na mocy cichej umowy przez te ubiegłe lata ani ludzie lasu, ani jumeni nie wybudowali domów ani nie obozowali. Selver i jego towarzysze usadowili się w cieniu wielkiego jesionu, który stał z dala od skraju lasu. Jego jagody były jeszcze tylko małymi zielonymi kępkami na gałązkach, jego liście były długie i miękkie, zmienne, letnio-zielone. Światło pod wielkim drzewem było miękkie, skomplikowane cieniami.

Jumeni naradzali się, przychodzili i odchodzili, aż w końcu jeden

z nich podszedł do jesionu. To był ten twardy ze statku, komandor. Przysiadł na piętach obok Selvera, nie pytając o pozwolenie, ale bez widocznego zamiaru obrazy. Powiedział:

— Czy możemy trochę porozmawiać?

— Oczywiście.

— Wiesz, że zabierzemy z sobą wszystkich Ziemian. Przyprowadziliśmy drugi statek, aby ich zabrać. Wasz świat nie będzie już wykorzystywany jako kolonia.

— Tę wiadomość usłyszałem w Broteru, kiedy przybyliście trzy dni temu.

— Chciałem się upewnić, że rozumiecie, iż jest to trwały układ. Nie wracamy. Wasz świat został objęty Zakazem Ligi. W waszych warunkach oznacza to, że mogę obiecać, iż tak długo, jak będzie trwała Liga, nikt tu nie przybędzie wycinać drzew lub zabierać waszych ziem.

— Nikt z was nigdy nie wróci — rzekł Selver; było to stwierdzenie lub pytanie.

— Nie, przez pięć pokoleń. Nikt. Potem może paru ludzi, dziesięciu lub dwudziestu, nie więcej niż dwudziestu, mogłoby przybyć, aby rozmawiać z twoim ludem i badać wasz świat, jak robiło to paru ludzi tutaj.

— Naukowcy, spece — powiedział Selver. Zamyślił się. — Wy podejmujecie decyzje od razu, wasz lud — rzekł, znowu pomiędzy stwierdzeniem a pytaniem.

— Co masz na myśli? — Komandor wyglądał na ostrożnego.

— No, mówisz, że żaden z was nie będzie wycinał drzew na Athshe; i wszyscy przestają. A jednak żyjecie w wielu miejscach. Otóż gdyby przywódczyni Karachu wydała polecenie, ludzie z sąsiedniej wioski nie wykonaliby go, a z pewnością nie wykonaliby go natychmiast wszyscy ludzie na świecie.

— Nie, ponieważ wy nie macie jednego rządu nad wszystkimi. Lecz my mamy — teraz — i zapewniam cię, że jego polecenia są wykonywane. Przez wszystkich z nas od razu. Ale tak naprawdę, z opowiadań, które słyszeliśmy od kolonistów, wydaje się, że kiedy ty wydałeś polecenie, Selverze, wykonali je od razu wszyscy na każdej wyspie. Jak ci się to udało?

— Wtedy byłem bogiem — odparł Selver z obojętną twarzą.

Kiedy komandor odszedł, nadszedł powoli ów wysoki biały i spytał, czy może usiąść w cieniu drzewa. Ten był taktowny i niezwykle sprytny. Selver czuł się przy nim nieswojo. Tak jak Ljubow, ten był łagodny; rozumiał, a jednak sam był absolutnie niezrozumiały. Najuprzejmiejsi spośród nich byli bowiem tak nieosiągalni jak najokrutniejsi. Dlatego obecność Ljubowa w jego umyśle pozostała dla niego bolesna, podczas gdy sny, w których widział i dotykał swojej

nieżyjącej żony Thele, były cenne i pełne spokoju.

— Kiedy byłem tu przedtem — zaczai Lepennon — spotkałem tego człowieka, Rają Ljubowa. Miałem bardzo mało sposobności porozmawiania z nim, ale pamiętam, co mówił; miałem czas przeczytać część jego studiów nad twoim ludem. Jego dzieło, jak mówisz. Głównie z powodu tego dzieła Athshe przestała być ziemską kolonią. Myślę, że ta wolność stała się celem życia Ljubowa. Ty, jako jego przyjaciel, zrozumiesz, że śmierć nie powstrzymała go przed osiągnięciem celu, przed ukończeniem podróży.

Selver siedział nieruchomo. Niepokój w jego umyśle przerodził się w strach. Tamten mówił jak Wielki Śniący. Nie odpowiedział.

— Czy powiesz mi jedną rzecz, Selverze? Jeśli to pytanie cię nie urazi. Po nim nie będzie już żadnych pytań… Były zabójstwa: w Obozie Smitha, potem tutaj, w Eshsenie, w końcu w obozie na Nowej Jawie, gdzie Davidson przewodził grupie buntowników. To wszystko. Nic więcej od tego czasu… Czy to prawda? Czy nie było więcej zabójstw?

— Nie zabiłem Davidsona.

— To nie ma znaczenia — oświadczył Lepennon, nie zrozumiawszy; Selver chciał powiedzieć, że Davidson nie był martwy, lecz Lepennon zrozumiał, że Davidsona zabił ktoś inny. Selver nie poprawiał go, odkrywając z ulgą, że jumen mógł być w błędzie.

— A więc nie było więcej zabójstw?

— Żadnych. Oni ci powiedzą — odparł Selver i skinął głową w kierunku pułkownika i Gosse'a.

— To znaczy między twoimi ludźmi. Athsheanie zabijający Athshean.

Selver milczał.

Spojrzał w górę na Lepennona, na tę dziwną twarz, białą jak maska Ducha Jesionu, która zmieniła się pod jego wzrokiem.

— Czasami przychodzi bóg — rzekł Selver. — Przynosi nowy sposób robienia rzeczy lub nową rzecz do zrobienia. Nowy rodzaj śpiewu lub nowy rodzaj śmierci. Przynosi to przez most między czasem snu i czasem świata. Kiedy on to zrobi, jest to już zrobione. Nie można rzeczy istniejących w świecie próbować z powrotem wepchnąć do snu, trzymać je wewnątrz snu za pomocą ścian i pozorów. To szaleństwo. Co jest, jest. Nie ma sensu teraz udawać, że nie wiemy, jak zabijać się nawzajem.

Lepennon położył swą długą dłoń na dłoni Selvera tak szybko i łagodnie, że Selver przyjął dotyk, jak gdyby ręka nie była ręką obcego. Nad nimi drgały zielono-złote cienie jesionowych liści.

— Ale nie możecie udawać, że macie powody zabijania się wzajemnie. Morderstwo nie ma powodu — rzekł Lepennon z twarzą tak zaniepokojoną i smutną jak twarz Ljubowa. — My odejdziemy. Za

dwa dni nie będzie tu nas. Nikogo. Na zawsze. A wtedy lasy Athshe będą takie jak dawniej.

Z cieni umysłu Selvera wyszedł Ljubow i powiedział:

— Ja tu będę.

— Ljubow tu będzie — powtórzył Selver. — I Davidson tu będzie. Obaj będą. Może kiedy umrę, ludzie będą tacy, jak przed moim urodzeniem i przed waszym przybyciem. Ale nie sądzę.